



BIBLIOTHECA  
UNIV. JAGELL.  
CRACOVENSIS

56598

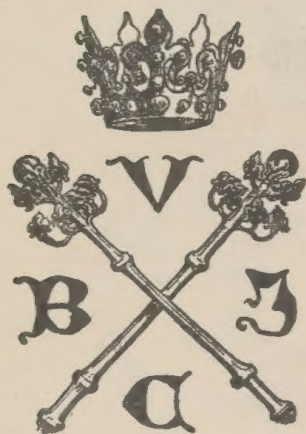
Kalkomp.

I

Mag. St. Dr.

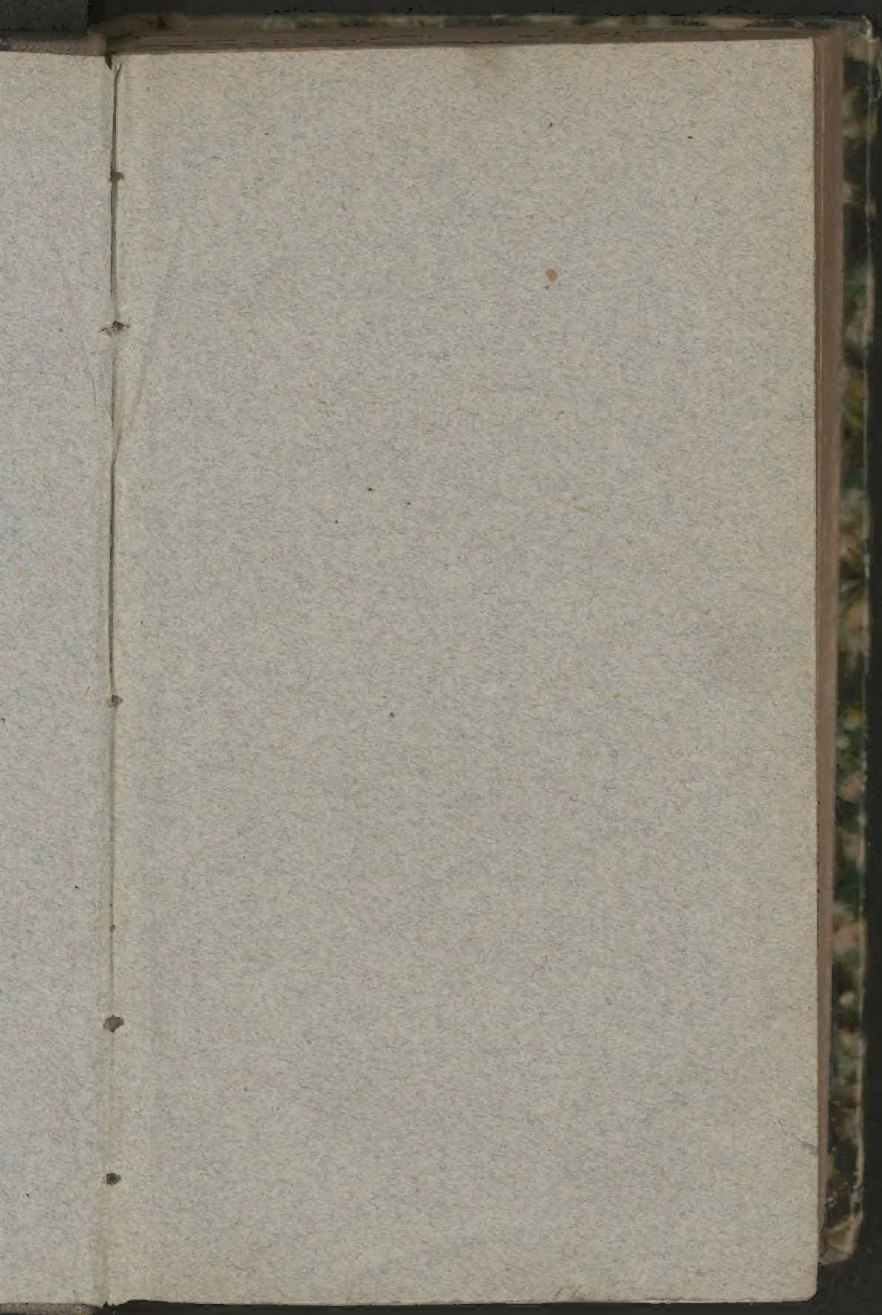
P

*Powieści N° 143.*



*XXI. g. 32*









FRANKLIN

czyli

WOLNA WOLA

*Dzieło, tłómaczone z Niemieckiego języka.*



W KRAKOWIE 1798.

---

w Drukarni JANA MAYA.



56598

7



# R E J E S T R.

*Materyi znaydujących się w tey  
Xiążce.*

	Karta.
Rozdział I. <i>Celna osoba Historyi.</i>	1.
Rozdział II. <i>Kominek.</i>	8.
Rozdział III. <i>Skutki Przypadku.</i>	10.
Rozdział IV. <i>Kłotnia</i>	11.
Rozdział V. <i>Odwiedzenie Chorego</i>	12.
Rozdział VI. <i>Franklin opuszcza zamek Hrabiego</i>	16.
Rozdział VII. <i>Co byli za iedni dway obcy</i>	20.
Rozdział VIII. <i>Przybywa do Berlina</i>	24.
Rozdział IX. <i>Franklin cwioczy się w mu- strze i otrzymuje Abszyt</i>	27.
Rozdział X. <i>Franklin wpada w pomie- szanie</i>	29.
Rozdział XI. <i>Franklin opuszcza Berlin</i>	33.
Rozdział XII. <i>Testament</i>	36.
Rozdział XIII. <i>Podarunek</i>	39.
Rozdział XIV. <i>Londyn</i>	41.
Rozdział XV. <i>Wolny obiad.</i>	43.
Rozdział XVI. <i>Franklin obity porzuca Londyn</i>	47.
Rozdział XVII. <i>Kale</i>	50.
Rozdział XVIII. <i>Franklin znayduje swe- go ucznia.</i>	53.
Rozdział XIX. <i>Zboysa</i>	58.
Rozdział XX. <i>Paryż</i>	60.
Rozdział XXI. <i>Franklin wpada w piek- ne towarzystwo</i>	63.
Rozdział XXII. <i>Franklin i hrabia, uskar- żają się wzajemnie na konieczność</i>	68.
Rozdział XXIII. <i>Execucya</i>	71.
Rozdział XXIV. <i>Historya Winowaycy</i>	75.

# REJESTR

	Karta.
Rozdział XXV. Franklin wpada w Sida	84.
Rozdział XXVI. Franklin chce bronić nie- winności dziewczyny i oszukaie ją	91.
Rozdział XXVII. Franklin popełnia zbro- dnią przeciw narodowi i idzie do Ba- stylli.	96.
Rozdział XXVIII. Bastyllia	101.
Rozdział XXIX. Franklin na Galery skazany	105.
Rozdział XXX. Galery	111.
Rozdział XXXI. Franklin wpada w rę- ce zbrojcow morskich	114.
Rozdział XXXII. Franklin przedany dostać dobrego Pana	117.
Rozdział XXXIII. Hrabia opowiada Franklinowi swoje przypadki	122.
Rozdział XXXIV. Kogo potyka Franklin	145.
Rozdział XXXV. Franklin wpłatany w przykre okoliczności	156.
Rozdział XXXVI. Franklin mimo woli Turkiem zostaje	157.
Rozdział XXXVII. Franklin kontent że muzułmanem został	163.
Rozdział XXXVIII. Hrabia i Franklin przymuszeni Algier opuścić	175.
Rozdział XXXIX. Historya Karoliny	181.
Rozdział XL. Nieszczęśliwy przypadek całe towarzystwo rozłącza	201.
Rozdział XLI. Franklin wychodzi z wiezienia i jego dalsze przypadki	208.
Rozdział XLII. W którym los niewie- rzony zdarza przypadki	220.
Rozdział XLIII. Historya Młówa	233.
Rozdział XLIV. Przybycie do zamku hra- biego de Witt, i zakończenie przy- padków	239.

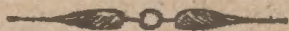
W  
szkał  
syna.  
nym  
gdy  
Jego  
Niepr  
gwałt  
lozofa  
cunek  
nia da  
cnojs



# FRANKLIN

czyli

## WOLNA WOLA



### ROZDZIAŁ I

*Celna osoba Historyi.*

**W** zamku hrabiego de Witt mieszkał wielki Filozof edukujący jego syna. Cały dom miał go w szczególnym szacunku. Ledwo oddychano gdy mówił, ażeby słowa nie stracić. Jego zdanie było wyrokiem Bostwa. Nieprzewidziany przypadek zadał gwałtowny cios powadze wielkiego Filozofa. Od tego momentu stracił szacunek u hrabiego; u młodego ucznia dawniej już go był zgubił. Jak mocno! stary hrabia polegał zawsze na

zdaniu Filozofa, tak upornie teraz zaczął mu się sprzeciwiać, i przy każdym wniściu przychodziło między niemi do kłotni. W pięknym poranku lata, zeszli się raz na śniadanie. —

„Tak łaskawy Panie i iestem i będę zawsze tego zdania. „

„Ale rozbierz wszystko dokładnie. Twoie systema nie iestże nayśmieszniejsze? Wolna wola, opatrność rządząca wszystkim, wieczny i nieodmienny rzeczy porządek, możeż to wszystko stać razem? „

„Niemożna WPDobro. naygruntowniejszemi dowodami przekonać. Chcę mu więc to w przykładach okazać, czego sylogizmami dowieść nie mogę. Zamierzyłem podróż do Amsterdamu, mogę udać się wnie tego moment, mogę ią do dni ośmiu odłożyć, mogę iey zaniechać zupełnie. Czy nie zawisło od moiey woli wybrać co mi się podoba? a kiedy raz wybrałem, nie mogęż czynić podług moiego wyboru? „

„Jeszcze nie wszystko dobry Franklinie. Okoliczności skłaniają

nasze  
Chociaż  
puścić  
by nie

„  
konać  
wolna  
zawsze  
dniach  
natych

F  
koju, a  
zamek  
to prę  
ka stop  
sadzkie  
wywin  
wrzask  
wszysto  
niego,  
wiony  
lokaia  
„Woln  
nają ręk  
żartu  
się hrał  
kazał F



teraz  
przy  
między  
poran-  
ie. —  
tem i

dokła-  
iście  
, opa-  
eczny  
gdek,  
? „  
ygrun-  
konać.  
i oka-  
ść nie  
o Am-  
tego  
odio-  
elnie.  
i wy-  
ly raz  
podług  
dobry  
aniają

naszą wolą, determinują nasze sprawy.  
Chociażbyś sto razy przedsięwziął,  
puścić się zaraz w podróż, mogła-  
by nieprzewidziana przeszkoda”

„Chcę więc natychmiast prze-  
konać Pana, że nasza wola wcale jest  
wolna, i że podług tej woli czynić  
zawsze możemy. Chciałem po ośmiu  
dniach rozpocząć moją podróż, ale  
natychmiast jego zamek opuszczam.”

Franklin wyleciał w zapale z po-  
koju, aby iak postanowił, w momencie  
zamek opuścić. Lecz biegnąc nad-  
to prędko po schodach, omylił kil-  
ka stopniów, padł na kamienną po-  
sadzkę, a prawą nogę, i lewą rękę  
wywinął. Boleść wymogła na nim  
wrzask bardzo mocny, i zbiegli się  
wszyscy dworzanie. Jedni szydzili z  
niego, drudzy go oskarżali. Zdzi-  
wiony łoskotem hrabia, zadzwonił na  
lokaia i spytał co się tam działo?  
„Wolna wola,” rzekł lokaj, „wyw-  
nął rękę i nogę.” — Tak bowiem z  
żartu nazywano Franklina. — Śmiał  
się hrabia na odpowiedź lokaia, i roz-  
kazał Filozofa zanieść do swego pokoju

in; a przyzwawczy z bliskiego miasta lekarza, zlecił mu o nim staranie.

W pierwszym dniu nie odwiedził hrabia Filozofa. Niechciał pomnażać jego boleści, i odłożył na inny czas sposobność przekonania go własną szkodą, o fałszu jego opinii.

Kiedy tak Franklin, zamiast podróżować do Amsterdamu, leżał u hrabiego pilnując, kiedy hrabia gotuje się do zbicia jego zdania najmocniejszemi dowodami; obeznamy tym czasem czytelnika z celną osobą Historyi.

Franklin miał lat trzydzieści. Otrzymał katedrę Filozofii w \*\*\* ponieważ chciał wziąć za żonę metresę Xiążęcia, która na trzy dni przed weselem umarła. Dowodził swoim uczniom, że wola człowieka jest wolna, i wstąpił się przez tę naukę. Po dwóch latach zamierzył Xiąże dać za mąż drugą metresę, ponieważ ta w posagu intrygantną miała plebanę, pojął ją młody kandydat. Franklin nie rychło poznał zamiar Xiążęcia. Pomyślił sobie: jeżeli me-

tres  
two  
bie  
ia p  
feli  
pli  
wo  
nie  
nos  
ten  
zoś  
nę  
wa  
bra  
zde  
kra

fw  
pr  
się  
mo  
na  
Op  
Am  
mi  
mu



miasta  
ranie.  
wiedział  
pomna-  
na inny  
go wła-  
inii.  
iast po-  
au bra-  
gotnie  
ocniej-  
ym cza-  
bą. Hi-  
dzieści.  
w \*\*\*  
ong me-  
rzy dni  
owodził  
owieka  
rzez tę  
nierzył  
etresę,  
a miała  
ndydat.  
zamiar  
eli me.

tresę weźmiesz za żonę, utrzymasz  
twoją katedrę; zależy teraz od cie-  
bie, chcieć, albo niechcieć. Chcesz  
ją pojąć za żonę, więc będziesz pro-  
fessorem. Podał więc Xiążęciu sup-  
plikę, w której oświadczył, że ma  
wolę ożenić się z jego metresą. Na  
niezłazęście nowa metresa Xiążęcia  
nosiła imię ożenionej z kandyda-  
tem. Xiąże przeczytał suplikę Filo-  
zofa, i rozumiał, że chce pojąć za żo-  
nę, jego nową metresę. Rozgnie-  
wał się na śmiałość profesora; ode-  
brał mu katedrę, i ogłosił go nie-  
zdolnym do nabycia innej w jego  
kraju.

Franklin, który chciał się przy-  
swey katedrze utrzymać, utracił ją  
przeciw woli. Widział prawda że  
się inaczej stało, a niżeli on żądał;  
mówił jednak: „Wola człowieka wol-  
na, i mogę podług niej czynić.”  
Opuścił \*\*\* i zamierzył iechać do  
Amsterdamu, gdzie jego wuy prze-  
mieszkiwał; ale nie mając pieniędzy  
musiał przyjąć służbę u hrabiego,

który mu edukacją swojego syna zlecił.

Franklin wpaiał w młodzieńca naukę o wolney woli, który przyymował ją chciwie, chociaż iey nie rozumiał. Raz młody uczeń wizedł po obiedzie do ogrodu, i postrzegł córkę ogrodnika, młodą i piękną dziewczynę, która wiązała bukiet. Z nią zapuszczony w rozmowę, zapomniał godziny nauki. Franklin szukał swojego ucznia, znalazł go w ogrodzie z dziewczyną i ziaiał mocno, że opuścił godzinę, w której miał mu okazać, konieczność wolney woli. Kazał mu iść za sobą, ale panicz wolałby chętnie z dziewczyną być rozmawiać, niż ziewać przy nauce. Wspomnił tedy na swoją wolną wolą, i myślił: „Coż ci za korzyść z wolney woli, kiedy ją nie możesz używać. Chcesz dziś w ogrodzie zostać. Każdy człowiek czynić może podług swey wolney woli. Chcesz zatym także opuścić dzisiay godzinę lekcyi.” Odkrył myśl swoją nauczycielowi. Ten wspomniiał mu posłuszeństwo które mi,

strzov  
wolną  
wo,  
klin o  
bydź  
ci m  
wziął  
do sz  
I  
niecz  
młody  
myśla  
„Gd  
mogł  
tych  
z piek  
musze  
Gwał  
klin n  
nia te  
czego  
nych  
minov  
naym  
Od te  
y wo

strzowi powinien; aie uczeń zarzucił  
wolną wolą, która daie każdemu pra-  
wo, czynić co mu się podoba. Fran-  
klin okazał, że wola dzieci, powinna  
bydź nauczycielom poddana, ażeby  
ci mogli ją do dobrego kierować;  
wziął go za rękę, i mocą wciągnął  
do szkoły.

Franklin rozpoczął dowod o ko-  
nieczney potrzebie wolney woli, a  
młody hrabia nieuważając słow iego,  
myślał z żalem, że nie ma wolney woli.  
„Gdybyś miał wolną wolą, i gdybyś  
mógł podług niey czynić, byłbyś do  
tych czas w ogrodzie, rozmawiałbyś  
z piękną dziewczyną, nie byłbyś przy-  
muszony tu od nudności umierać!  
Gwałt cierpi twoia wola. A ieżli Fran-  
klin mógł cię przymusić do opuszcze-  
nia tego, co chciałeś, a do czynienia  
czego nie! chciałeś; tysiąc niezna-  
nych przyczyn może podobnie deter-  
minować twe wízystkie czyny, bez  
najmnieyszego uczestnictwa woli.”  
Od tego momentu nie wierzył uczeń  
w wolną wolą.



## ROZDZIAŁ II.

### *Kominek.*

**W** wieczorach zimy chętnie hrabia przy kominku siadywał, i grzał się jego ogniem. Co za wspaniałość, powtarzał często, kiedy ogień lica siedzących rumieni. Zawsze mi to wystawia ow wiekuisty płomień, który chaos ożywia, i oświecał noc ponurą i ciemną, która świat cały kryła. Stary hrabia sprzyjał mocno, opinii dawnych Persow. Wielki Angielski pies leżał bezprzestannie u nóg jego, i wielki dzban herbaty, stał zawsze przysunięty do ognia.

Franklin i jego uczeń towarzyszyli mu zawsze, i pijącemu piwo, kurzącemu lulkę tytoniu, lub iedzącemu pieczenia, (hrabia bowiem nie lubił potraw gorących) skracali długie godziny.

Franklin zawsze do wolney woli kierował swoje rozmowy; hrabia słuchał go uważnie, nie wiedząc w po-

czątku, czy z woli czy też bez woli  
 czynił; nakoniec zdało mu się, że czło-  
 wiek może mieć wolę, był nie pe-  
 wny, czy jest wolny, czy przy-  
 muszany, lecz skłonił przypadek, zda-  
 nie jego o ludzkiej woli.

Gdy raz dowodził Franklin, że  
 człowiek posiada władzę czynienia  
 według woli, a stary i młody hrabia  
 z pilną słuchali uwagą, zgasł na ko-  
 minku ogień. Postrzegł to Franklin.  
 „Widzisz WPDobro. ogień zaczyna  
 gasnąć, zależy od naszej woli oży-  
 wić go, albo mu zgasnąć dozwolić,  
 i to i tamto chcieć możemy. Ponie-  
 waż zaś zimno byłoby skutkiem zga-  
 słego ognia, skłoniony jestem ożywić  
 go. Ze mam władzę czynić według  
 tej woli, przekonam WPDobr. wznie-  
 cając jego płomien,” rzekłszy to por-  
 wał drewno. Wielki pies widząc  
 Franklina chwytającego drewno, ro-  
 zumiał, że go chce nim uderzyć, rzu-  
 cił się więc i ugryzł go w kolano.  
 Przełęknięty Franklin wypuścił dre-  
 wno z ręki i stłukł nim hrabiemu nogę.  
 Ten porwał się nagle z boleści, po-

tracił dzban herbaty i zalał cały ogień. Poyrzano w milczeniu po sobie. „Niechay cię diabli wezmą” rzekł na ostatek hrabia, któremu kawał drewna bolesną zrobił ranę. „Chciałeś podniecić ogień, a sam jesteś przyczyną iego zupełnego zgaśnięcia.

## R O Z D Z I A Ł III

### *Skutki Przypadku.*

**H**rabia kazał sobie ranę gorącym winem obwiązać, a całą noc nie zmrugał oka z boleści. Przeklinał Franklina, i iego wolną wolą, zastanawiał się nad przypadkiem, który Franklinowi nie dozwolił ognia rozniecić, i wreszcie błysnęło mu światło, odrzucił zupełnie wolną wolą, przekonał się że ią przypadek skłania, że nie od nas zależy chcieć czynić, lecz od okoliczności, które nas do czynienia zmuszają.

**O** mów  
hrabi  
bia c  
chcie  
wał,  
nia,  
stępl  
kłady  
Hrab  
Fran  
pięku  
pierv

tkano  
z ich  
du, i  
Wra  
bie :  
Wsz  
wiek  
klin



## R O Z D Z I A Ł IV.

*Kłótnia.*

**O**d tego czasu, ile razy Franklin mówił o wolney woli, znajdował w hrabim mocnego przeciwnika. Hrabia dowodził kominkiem, iż człowiek chcieć nie może. Franklin utrzymywał, że koniecznie ma władzę chcenia, inaczej nie byłoby cnoty ani występku. Hrabia zarzucał mu przykłady, Franklin hrabiemu sylogizmy. Hrabia zaprzął się występkowi i cnocie. Franklin mówił trzy godziny, o piękności drugiey, i o szpetności pierwszego.

Kłuciono się, gdzie się tylko spotkano, a młody hrabia korzystając z ich kłótni, wkradał się do ogrodu, i rozmawiał z ładną dziewczyną. Wracając raz z ogrodu pomyślił sobie: „Franklin jest czysty głupiec. Wszystko cokolwiek się dzieje, od wieków jest rozporządzone, Franklin musiał upuścić drzewo na nogę

oyca mego, aby się z nim kłócił o wolney woli, a ja mogłem przez ten czas, z dziewczyną w ogrodzie rozmawiać. Gdyby to nie tak było, oyciec nie dozwoliłby mi pieścić się z moją dziewczyną, i gdyby o tym wiedział, przerwałby wizerką sposobność. Wszystko jest przeznaczone!”

Franklin i hrabia tak się upornie kłócili, iak niegdy uczniowie Tomasa z partyzantami Moliny. ‘Czy przy śniadaniu, czy przy obiedzie, czy na przechadzce, zawsze gadano o wolney woli. Tym kołem toczyły się rzeczy, kiedy Franklin chcąc iechać do Amsterdamu, omylił kilka schodów, złamał rękę i nogę, i przeciw swoiey woli pozostać musiał w zamku.

## ROZDZIAŁ V.

### *Odwiedzenie Chorego.*

**H**rabia zostawił ośm dni Filozofowi, do rozbierania swego syste-



matu. Uwiadomiony wreszcie od lekarza, że boleść znacznie spuściła, odwiedził go.

*Hrabia.* Jakże się ma Jego ręka i noga?

*Franklin.* Jako tako łaskawy Panie. Dzięki Bogu, nie czuję więcej tak potężnych boleści.

*Hr.* Rozumiem, że ziego ręką i nogą, strzaskało się systema wolnoey woli.

*Fr.* Uchoway Boże. Bardziej w nim jestem umocniony, niż w przody.

*Hr.* Ten jest niezwykle uporny, kogo nie-może przekonać strzaska-na ręka i noga.

*Fr.* Moja ręka i noga. Coż ma za związek z wolną wolą?

*Hr.* Ma związek przekonania cię, że człowiek wcale iey nie posiada. Czy nie w ten czas obie złamałeś, kiedy dla przekonania mnie, iż człowiek podług swojej woli czynić może, chciałeś się niezwłocznie do Amsterdamu puścić. A mogłeś tego dokonać, złamawszy rękę i nogę?

*Fr.* To nic nie wnosi łaskawy Panie. Złamanie ręki i nogi, i wstrzymana podróż do Amsterdamu, były skutkiem mey wolney woli. Gdybym był szedł wolniey po schodach, nie uchybiłbym kilku stopniow, i nie spadłbym był na dół. Gdybym był nie spadł na dół, nie złamałbym ręki i nogi, a gdybym nie złamał ręki i nogi, jużbym zostawał w podróży. Ponieważ więc z moiego chcenia, nie szedłem powoli, lecz prędko, moiey woli powinienem przypisać, złamanie ręki i nogi, wstrzymanie podróży i leczenie się w zamku WPDobro.

*Hr.* Nierozum, głupstwo i koniec. Chciałeś pràwda iść spieszo po schodach, ale niechciałeś z nich spaść. Nie dowodzisz to iawnie żeś nie podług woli uczynił?

*Fr.* Nie tak spieszo Mści Dobrodzieiu! To owszem dowodzi, że podług moiey woli uczynił. Nie zależało odemnie, uważać pilnie każdy stopień, aby żadnego nie chybić? Gdybym tylko chciał bydz uważnym, nie spadłbym pewnie z schod

gow.  
dow  
Widzi  
żało o  
II  
że sp  
chciał  
Fr  
my lu  
ale po  
nie m  
H  
fzey y  
nie oc  
ciażes  
Fr  
H  
żemy  
I  
wcale  
H  
konan  
wawf  
wany  
I  
mógł  
ręką



Uow. A gdybym nie spadł z schodów nie zламаłbym był ręki i nogi. Widzisz WP Dobro, iak wszystko zależało od moiey wolney woli.

Hr. Lecz czyłyż przewidziałeś że spadniesz z schodów? i czyłyż chciałeś z nich spadnąć?

Fr. Nie przewidziałem prawda, my ludzie przewidywać nie możemy, ale podług wolney woli czynić zupełnie nie możemy.

Hr. Smieszna! Jeżeli podług naszej woli czynić możemy, dla czegoż nie odiechałeś do Amsterdamu, chociażś chciał odiechać?

Fr. Bo zламаłem rękę i nogę.

Hr. To samo dowodzi, że niemożemy zawsze tak czynić iak żądamy.

Fr. Nie dowodzi łaskawy Panie, wcale nie dowodzi, bo —

Hr. Uparty głupcze! Nie przekonany głupcze! Zawołał hrabia, i porwawszy się z krzesła wyszedł rozniewany.

Hrabią gniewał się mocno. Nie mógł pojąć, iak człowiek z złamaną ręką i nogą może myśleć o wolney

woli. Nie mniej rozjątrzało Franklina, że hrabia po tak pięknych dowodach, wątpi jeszcze o wolney woli. Postanowił mocniej niż pierwey, iak tylko zgoi się iego noga zaraz do Amsterdamu iechać. Ażeby zaś podobney nie doznał od przypadku przeszkody, umyślił iak naywolniej, schodzić z pałacu, i tak bydz pewnym, że go nic nie wstrzyma, od wykonania swoiey woli.

## ROZDZIAŁ VI.

*Franklin opuszcza zamek Hrabiego.*

**F**ranklin zupełnie wyzdrowiał. Trochę tylko uchramywał na nogę, a ręki nie mogąc używać nosił ją ięlcze na chustce. Lekarz zapewnił go, że czas oboie umocni, gdy nerwy sił nabędą. W rzeczy samey, w niektórych miesiącach używał Franklin ręki, ale przez całe życie utykał cokolwiek na nogę.

Nic

Frankli-  
n dowo-  
y woli.  
zey, iak  
do Am-  
ś podo-  
ku prze-  
y, scho-  
ewnym,  
wykona-

Nic mu już nie bronilo, do Am-  
sterdamu iechać. Pożegnał się z hra-  
bią mając związaną rękę, lecz nay-  
wolniejszy wola iechania do Amster-  
damu, gdzie w krótcie rokował sobie  
ztenąć.

VI.  
abiego.

ł. Tro-  
gę, a  
i ię-  
pewnił  
y ner-  
amey,  
Fran-  
e uty-

Na dworze hrabiego zebrał nie  
wielką sumkę, ta umieściła go w sta-  
nie odprawienia wygodney podróży.  
Uiechawszy mil kilka zwrócił do wipa-  
nialey austeryi, gdzie zastał bardzo  
przyjemne towarzystwo. Był rosły  
i piękney postaci. Na pierwsze  
spoyrzenie nie można było po-  
strzedz że chramał, a za czasow  
Fryderyka Wilhelma grubego, war-  
tałby tysiąc talerow. Dwóch dobrze  
ubranych panow siadło z nim razem  
do stołu, prosili go o pozwolenie, a-  
by z nim iść mogli, i ofiarow ali się do  
skrócenia mu czasu. Franklin rozmo-  
wny iak każdy Filozof, ucieszył się nie-  
zmiernie z kompanii w której będzie  
miał sposobność mówienia o Metafizy-  
ce, Ontologii, Psychologii, Phitologii,  
a mianowicie o wolrey woli. Podzię-  
kował im za dobrośliwą ofiarę, i



świadczył, iż z wielkim upodobaniem będzie z niemi, aż do odiazdu rozmawiał.

Franklin, który nie należał do Pithagora szkoły, gadał bardzo dużo o wolney woli. Dway towarzysze uważnie go słuchali, poglądali często na siebie z oznaczającym uśmiechem, i we wszystkim mu słuszność przyznali. Filozof ciągnął z upodobaniem sam ieden przez cały stół rozmowę, którey nie przerwało żadne wąpiące *ale*. W ten czas dopiero kiedy się mieli rozłączyć, rzekł ieden z obcych do niego:

*Pierwszy Obcy.* Wielce żałuję, iż nie mogę mieć dłużey roszkoszy obcowania z tak uczonym, i tak rozumnym mężem.

*Drugi Obcy.* I mnie to mocno dotyka. Dalbym nie wiedzieć co, gdybym mógł towarzyszyć iego podróży; ale zapewne w inną udasz się drogę.

*Franklin.* Jadę do Amsterdamu.

*Pierwszy Obcy.* Czy to podobna? tym sposobem będę mógł ie-

szcze  
obcov  
mu i  
mieys  
godni  
go w  
nisz.

Dobro  
szcz  
widzia  
żna g  
całe  
W pie  
mnie  
iego  
życze  
N

grzeci  
ich pr  
cego,  
skłoni  
ich of  
mniey  
nudną  
miłych  
grzeci

banie  
du roz-  
żał do  
o dużo  
rzysze  
li czę-  
uśmie-  
szność  
podo-  
ty stół  
ało za-  
zas do-  
rzekł  
żałnie,  
skoszy  
ak ro-  
nocno  
ć co,  
go po-  
udasz  
damu.  
podo-  
gi ie-

szcze dingo z tak mądrym mężem  
obcować. My także do Amsterda-  
mu iedziem, i jeżeli zechcisz obrać  
miejsce w naszym pojeździe, wy-  
godnie, szym zapewne od pocztowe-  
go wozu, wielką nam łaskę uczy-  
nisz.

*Drugi Obcy.* Nie odrzucay WP.  
Dobro. tey proźby. Wyznam mu  
łzeczke, jeszcze w życiu moim nie  
widziałem tak uczonego męża. Mo-  
żna go bez z mordowania całe dni,  
całe miesiące, i całe lata słuchać.  
W pierwszym zaraz momencie, coś  
mnie do WPana skłoniło, a słysząc  
iego rozmowy nie mogę się oprzeć  
życzeniu obcowania z nim całe życie.

Nie mógł się oprzeć Franklin  
grzeczney natarczywości obudwoch;  
ici proźby miały coś tak porwają-  
cego, iż każdy, a osobliwie Filozof  
skłonić się na nie musiał. Prziął  
ich offiarę z oświadczeniem, iż nie-  
mniey mu było prziemno, ciągnąć  
nadną podróż w towarzystwie tak  
młotych osob. Obcy podziękowali mu  
grzecznie, i rozkazali austernikowi

butelkę najlepszego wina postawić. Franklin kazał odiechać pocztowemu wozowi, i obiecywał sobie wiele uciechy z nowych towarzyszw po-  
dróży.

## ROZDZIAŁ VII.

*Co byli za iedni dway Obcy.*

**N**owi przyjaciele Franklina naglili go ciągle do picia, a filozof które-  
mu osuszyła piersi długa rozmowa, nie potrzebował zbyt mocnego przy-  
musu. Gdy tak wypróżniaią kielisz-  
ki, poznali obcy z mowy Franklina, że w życiu swoim Amsterdamu nie  
widział; że nie zna która tam droga  
prowadzi; że gdyby nawet znał,  
zamglone parą wina oczy, nie mo-  
głyby rozpoznać, czy do Amsterda-  
mu, czy do Konstantynopola iedzie,  
zamierzili więc nie odwłocznie od-  
iechać.



Wsiadając w pojazd, wiele mówił Franklin o wolney woli. Obydwa obcy słuchali go z uwagą, i uśmiechnęli się kiedy powiedział, że mu nic przeszkodzić nie może, do wykonania zamiarow wolney woli. Na tych rozmowach zszedł wieczor, i w niewielkim miasteczku stanęli na noc gospodą. Kilku panow w błękitnych sukniach, z żółtymi wyłogami, otoczyli obydwóch obcych, i zapytali: „Jak się im półów udał?” Ci odpowiedzieli: „Mamy szczegulnie iednę sztukę, ale ta choynie całą pracę zapłaci” Franklin nie zrozumiał iednego słowa.

Zamowiono izbę. Franklin chciał osobney dla siebie; ale nie dozwolili obydwaj obcy, ponieważ w ich izbie wystarczało miejsca dla niego. Mówili to w tonie, który dał mu do zrozumienia, żeby daremnie przy swym zamiarze obstawał. Przypisał to ich wielkiey przyjaźni ku sobie, która nie mogła rozdzielić się na noc iedną od niego, i przystał na ich żądanie.

Wszczęto rozmaite mowy. Pa-

nowie w błękitnych sukniach mierzyli wzrost Franklina, mówili o grenadyerskiej czapce, i t. d., filozof mniej tu jeszcze rozumiał. Usiedli do wieczerzy, pito za zdrowie króla i jego woyska. Franklin nie chciał im towarzyszyć; ale tak długo naglono go, aż na ostatek pozwolił; wyszedł z izby, a pan w błękitney sukni towarzyszył mu i nie spuścił go z oka, to w nim wzbudziło zadziwienie. Wybiła na koniec iedenasta godzina; obcy i Franklin poszli do łóżka, a ieden z panów w błękitney sukni, stanął u drzwi z gołym pałaszem, dway inni przynieśli słomy do izby, i położyli się w sukniach, to wszystko, było dla Franklina niepojętym sekretem.

Gdy się obudził, i chciał ubierać, zamiast swoiey sukni brunatney, znalazł suknię błękitną, a zamiast czarney kamizelki i spodoi, żółtą kamizelkę, i białe spodnie. Rozumiał że się pomyłono, ale wszyscy Panowie b. li w swych sukniach jak wczoraj, a w całej izbie nie było widać

iego odzierzy: spytał się Franklin o swoje szaty, ale otrzymał odpowiedź, aby te oblokł które przed sobą widzi. Wzbraniał się Filozof pozwolić na te zamianę; iego bowiem szata z przedniego była sukniatego kamizelka i spodnie iedwabne; ale pogrożono mu, że jeżeli dobrowolnie nie wdzieie na siebie, musi to poniewolnie uczynić. Franklin nie poymował co to znaczyło, i nalegał z uporem aby mu własne szaty oddano. „Zapewne dureń chce rezonować,” rzekł ieden z panow w sukni błękitney „trzeba go nauczyć posłuszeństwa,” i dostał zaraz kija; ton iego mowy, i kiy na grzbiet wymierzony, niezmiernie przestraszyły Franklina, wdział nie bawiąc suknią błękitną, białe spodnie, i żółtą kamizelkę.

Ubrany prosił obcych, aby dłużej z niego nie szydząc, wyłożyli mu co by to wszystko znaczyło.

„Głupcze” rzekł pan w błękitney sukni „jeszcze nie wiesz żeś est żołnierzem?”



„Lecz moja wola,” rzekł i kłaniając się Franklin.

„Co nam do twojej woli, wolny lub przymuszony, dosyć że służysz królowi.”

Poznał dopiero Franklin, że obydwaj obcy byli werbownikami.

## ROZDZIAŁ VIII.

### *Przybywa do Berlina.*

„**M**oi panowie,” rzekł Franklin werbownikom, gdy z nim iechano dalej. „Moi panowie, znam dostatecznie, iż król wasz ma wolną wolą.”

Rzecz to nie zaprzeczona mości Filozofie.

„Pozwolicie więc także, że ja wolną mam wolą.”

Ktoż tego W Panu zaprzecza.

„Jeżeli wolną mam wolą, dla czegoż przymuszacie mnie zostać żołnierzem, kiedy ja nim być nie chcę?”

Nie przymuszamy go *chcieć* być żołnierzem, lecz tylko *rzetelnie* nim być. Wolno mu *chcieć*, albo *niechcieć* aby nim tylko był. Masz więc w całości twoją wolą.

„Lecz człowiek musi i powinien czynić podług swej wolnej woli.

Powoli mości Filozofie, tu inaczej rzecz idzie; żołnierz nie może czynić podług swej wolnej woli, lecz podług woli starszego; królowie tylko mogą swojej woli słuchać.

„Co moi panowie, dziś zaprzeczacie mi że człowiek ma wolną wolą, i podług niej czynić może; gdy wczoraj na toż samo zgadzaliście się ze mną?

Bo widzieliśmy wczoraj że sam dziś uznasz, iż twoje zdanie jest głupie.

Tak tedy nie uznają ludzie wolnej woli, rzekł w sobie samem Franklin. Nie odezwał się więcej do werbownikow, rozważał tylko co za przeciwnie zdarzyły mu się przy padki. Chciałeś się, mówił do sie-

bie, przy twej katedrze utrzymać, i utraciłeś ją, chciałeś do Amsterdamu iechać; i niedostatku pieniędzy musiałeś przyjąć służbę; chciałeś rozniecić ogień, i byłeś przy czyną, że on zupełnie zgasł; chciałeś w przykładzie dowieść hrabiemu, że człowiek podług swej woli czynić może, spadłeś ze schodów, wywinąłeś rękę i nogę, rozpoczęłeś znowu podróż do Amsterdamu, a iedziesz do Berlina, aby tam służyć w woysku. Są to fatalne przygody, lecz onym twoja wola nie winna. Człowiek ma wolną wolą, i może podług niej czynić; lecz ieżeli chce byż szczęśliwym powinien ją rozumem kierować.

W tych i podobnych myślach, przybył do Berlina Filozof, i zamiast do austeryi, musiał wysiąść do koszar; oddano go w dozór staremu unteroficyerowi, aby go ćwiczył w mustrze.

Frank

**F** ra  
nerat  
na m  
den  
mus  
cić w  
i Fra  
nie p  
kazan  
biey  
widol  
że to  
klin  
reń  
kie.  
Fran  
kow,  
wyn  
Mus  
dzie  
grzb



## R O Z D Z I A Ł IX.

*Franklin ćwiczy się w mustrze i  
otrzymuje Abszyt.*

**F**ranklin wszedł do regimentu je-  
nerała von \* \* \*. obeyżrzano go i  
na muszkietyra zdatnym uznano; za-  
den nie postrzegł że chramał. Z  
muszkietem w rękę, musiał się krę-  
cić wprawą i w lewą; nie udawało się,  
i Franklin dostał kiie. Idąc powoli,  
nie prawie nie ntykał, lecz gdy mu  
kazano iść prędzey, jedną nogą głę-  
biey upadał, co bardzo śmieszny  
widok czyniło. Unteroficyer rozumiał,  
że to umiślnie czyni, i znowu Fran-  
klin dostał kiie. Uniewinnił się „du-  
reń rezonnie,” i znowu dano mu  
kiie. Trwało to przez dni kilka,  
Franklin przeklinał króla, werbowni-  
kow, unteroficyera, kiy, i tego co kiy  
wynalazł, ale to nic nie pomogło.  
Musiał ćwiczyć się w mustrze, i co  
dzień do domu wracał z sinionym  
grzbietem.

Gdy Franklin wawfze utykał, mniemał unteroficyer, że to z umysłu czyni, aby otrzymał abszyt; „durniu! sprostuję ia ci nogę,” krzyknął raz, i tak mocno Franklina bił po wywichnioney nodze, iż Filozof omdlał z boleści, poczytał to kaprał za zmyślenie, i ocacał kłiem duchy ożywiające. Jego towarzysz widział, że Franklin rzetelnie omdlał. „Do czarta! panie sierżancie WPan zabieysz rekruta, niechay mnie diabli wezmą, ieżli on prawdziwie nie omdlał.

Zaniesiono Franklina do domu. Przybyły felczer obezrzał iego nogę, uznał że ta, nie dawno była złamaną, i że Franklin rzetelnie chramał, i zawsze chramać będzie; litowano się nad biednym filozofem, i Wilhelma grubego debrotliwym przykładem, chciano mu nogę złamać na nowo, aby ią lepiej zlepić. Felczer zapewnił, żeby to nic nie pomogło, i że rekrut bardziey miał chramać niż pierwey.

Zaprowadzono Filozofa do kapitana, ażeby abszyt otrzymał, „prze-

„kłety laydaku” rzekł mu kapitan.  
 „Czemuś nie oznaymił zaraz w początku, że chramasz. Niech cię diabli porwą, żeś króla na koszt wyciągnął.”

Niech diabli porwą króla, rzekł Franklin, że ludzi każe kraść i do woyska ich przymusza.

Za powiedzianą prawdę dostał Franklin pięćdziesiąt kilow, i otrzymał swój abszyt.

## ROZDZIAŁ X.

*Franklin wpada w pomieszanie.*

Miał więc Filozof abszyt, ale nie miał pieniędzy, werbownicy wraz z jego suknią zabrali małą summkę; i próżno domagał się, aby mu jego własność wrócono: sprawiedliwość króla udała się nie wiadomą równie kradzierzy pieniędzy, iak i kradzieży ludzi. Nie wiedział Franklin co czynić, bez pieniędzy nie można

było do Amsterdamu iechać. Wiem co uczynię "pomyślał sobie nako-  
niec. „Osiędę w Lipsku, i tam za-  
cznę uczyć filozofii. Mnóstwo szko-  
łaków zbieży się do mnie i w pół  
roku tyle oszczędzę, ile potrzeba  
na podróż do Amsterdamu.

Lipsk leży od Berlina mil kilka-  
dziesiąt tych bez pieniędzy przebydź  
nie można. Dobry Franklin nie wie-  
dział znowu co czynić, pełen ża-  
łości na swój los, przechodził zamy-  
ślony mimo kościoła; zaczęto wła-  
śnie nabożeństwo; Franklin aby  
ożywił upadającą nadzieję, chciał szu-  
kać pociechy w religii, wszedł więc  
do kościoła z innemi.

Stał blisko ambony, predy-  
kant zaczął kazanie z textu „Mo-  
żesz swoje rękę do złego, albo do-  
brego ściągnąć," z kąd okazywał wol-  
ną człowieka wolą, i wnosił, że każdy  
podług niej czynić może. Kazanie  
uniósło z radości Franklina. Po za-  
kończonym nabożeństwie szedł za-  
raz na plebanją; predykant stał we  
drzwiach domu; Franklin pozdrowił

go i  
zmie  
wola  
ma w  
iester  
tem  
le  
stkie  
wola  
niey  
gdy  
mai  
wyc  
szył  
dzia  
żem  
dla t  
W t  
kę,  
desz  
tery  
nię  
pre  
rek  
ney  
kę,



go i zaczął mówić do niego: „Nie-  
 zmiernie jestem kontent, że wolna  
 wola, którą tak wielu zaprzecza,  
 ma w W Panu tak dzielnego obrońcę,  
 jestem tegoż samego zdania, i uczy-  
 łem go publicznie w wysokiey szko-  
 le \* \* \*” potym opowiedział wŹszy-  
 stkie przypadki, które broniącemu  
 wolney woli, nie dozwoliły podług  
 niey uczynić; prosił nakoniec, że  
 gdy żołnierze króla zabrali iego mały  
 majątek, aby mu tyle dać raczył, ile  
 wyciąga podróż do Lipska.

Predykant dobry człowiek, wzru-  
 szył się na los Franklina, Tak powie-  
 dział mu. „Mamy wolną wolą, i mo-  
 żem podług niey czynić, chcę cię  
 dla tego wesprzyć dobry człowieku.”  
 W tym gdy ściągnął do kieszeni rę-  
 kę, i wyjął worek z pieniędzmi, na-  
 deszła żona. „Mężulu kupiłam ma-  
 teryi na suknią, a niemam dosyć pie-  
 niędzy, day mi prędko co masz.”  
 predykant trzymał w ręku swoy wo-  
 rek; Franklin czekał aż mu da z wol-  
 ney woli; predykant wyciągnął rę-  
 kę, i dał worek z pieniędzmi żonie;

która jak wiatr szypko odeszła. —  
 Nie mam inż nawet trojaka mówił pa-  
 stor, chciałem cię wspomodz i dać ci  
 nawet cały worek, ale ponieważ moja  
 żona nadeszła, zamiast tobie oney go  
 dać musiałem, bo iak prędko żona jest  
 przy mnie, iuż nie mam wolney woli,  
 rzekłszy te słowa odszedł biednego  
 Filozofa.

Franklin oddalił się smutny z  
 plebanii; na ulicy żyd go napotkał:  
 „czego ci nie dostaie, że tak smu-  
 tno wyglądasz?” zapytał się go żyd.  
 Franklin opowiedział mu wzystko,  
 „dam ci kilka groszy” rzekł żyd  
 „proś, a od innych więcej dosta-  
 niesz.” W tym ściągnął rękę do kie-  
 szeni, i nie obeyr/awszy co daie,  
 włożył filozofowi parę litorow w rękę.  
 „Rzecz osobliwsza! rzekł Franklin,  
 predykant, który mi chciał dać tyle,  
 ile miało do Lipska wystarczyć, nie  
 dał mi wcale nic, a żyd który mi  
 kilka groszy obiecał, dał mi więcej  
 niżeli potrzebuje. Zdaie się iż tu przy-  
 padek rozrządzał; iednak człowiek  
 ma wolną wolą i może podług niej  
 czynić.

ROZ.

## R O Z D Z I A Ł X I.

*Franklin opuszcza Berlin.*

**F**ranklin tyle tylko bawił w Berlinie ile potrzeba było do ukojenia żołądka, który dwadzieścia godzin był próżny. Posiliwszy się, tak spieszo wyszedł z bramy, iak tylko mógł spieszo z nogą wywichniętą. Podróż szła mu nie sporo, droga bowiem bardzo zła była. Noc przybyła a Franklin ledwie uszedł dwie mile. Dla posilenia się i dla spoczynku stanął w mizerney karczmie.

Ledwie mu dano kwartę piwa, i za troiaka chleba, gdy poiazd stanął przed karczmą, z którego wysiadł dobrze ubrany młodzieniec. Ten wszedłszy do izby, patrzył na koło, a gdy nad Franklina nie postrzegł nikogo do rozmowy zdanieyszym, usiadł przy iego stole, i zlecił karczmarzowi, aby zgotowano dobrą wieczerzą.

C

Był to bogaty kupiec z Amsterdamu, ochoczy, wesoły, żartobliwy. rad szczypał ludzi i śmiał się chętnie z każdego; z tym wszystkim jego serce było wyborne. Zapukał się w rozmowę z Franklinem, który głowę lewą ręką podparłszy, siedział w zamysłach nad swoją wolną wolą. Nie wiele trzeba było do dania ruchu językowi Filozofa. Poczestowany kieliszkiem wina, i zaproszony na wieczerzę od kupca, tak się mocno rozgadał, iak niegdy w owej karczmie, w której dwóch obcych zastał.

Franklin miał zwyczaj nikogo wprzód nie opuszczać, aż mu widocznie wolną wolą okazał. Nie o-mieszkiał więc metafizycznemi bredniami, utrudnić uszu kupca. Opo-wiadał mu potym swe nieszczęśli-we przypadki.

„Uchciłeś więc,” odezwał się kupiec, „dwa razy iechać do Amsterdamu, mimo twojej woli, wstrzy-many zawsze zostasz. Teraz idziesz

do L  
w kr

odpo  
szcze

chnio

dzey

nor o

Mam

iadę t

iechać

szto

W

mogli

przysł

odiech

mał d

Po

podróż

czy Li

odległ

skończ

”

rzekł n

gret sk



do Lipska, i wcale nie wątpisz, że  
w krótkim czasie tam stajesz."

Cożby mi mogło przeszkodzić,  
odpowiedział Franklin. Ta rzecz  
szczegulnie od mojej woli zawisła.

"O bez wątpienia" rzekł uśmie-  
chniony kupiec, "i jeżeliś tym prę-  
dzej swojej woli dopełnił, mam ho-  
nor ofiarować ci moje towarzystwo.  
Mam własny pojazd, ie ten sam, i  
jadę także do Lipska. Jeżeli zechcesz  
jechać ze mną, nic cię podróż ko-  
sztować nie będzie.

W nędznym swym położeniu nie  
mógł Franklin tej ofiary odrzucić;  
przyjął więc onę, z ochotą, i nara-  
dzie odiechali obydwajak Franklin mło-  
dym do Lipska.

Po skończonych dni czterech  
podróży, spytał się Franklin kup-  
ca, czy Lipsk tak bardzo jest od Berlina  
odległy? mniemałem iż nasza podróż  
skończy się za dni kilka.

"Stało się przeciw mej woli,"  
rzekł uśmiechniony kupiec, "że sta-  
ret skierował drogę na \*\*\* gdzie

Cij

„mam kilka długow odebrać; lecz w krótcie będziem w Lipsku.”

Uradował się Franklin, i po ośmiu dniach zobaczył wielkie miasto. „Czy to iest Lipsk?” spytał się Franklin przy wieździe.

„Jest to Amsterdam” odpowiedział kupiec, „do ktòrego dwa razy chciałeś iechać daremnie, a w którym teraz mimo woli stanąłeś.” Wcisnął mu w rękę dwanaście dukatow i zostawił go w najpierwłzey austeryi.

Co tò takiego? rzekł Franklin, że włzystko inaczey idzie iak ia chcę, ale człowiek ma iednak wolną wolą i może podług niey czynić. Dobrze się stało, że iestem w Amsterdamie.

## ROZDZIAŁ XII.

### *Testament.*

**F**ranklin wypytywał się o swoim wuiu; niektórzy z zapytanych, nic o nim nie wiedzieli. Jest to bogaty,

kupiec; rzekł Franklin; radzono mu aby szedł do kupieckiego domu, prosił o pokazanie drogi, i udał się tam natychmiast. Pytał się najpierwszego z obecnych, i otrzymał odpowiedź, że jego wuy wczoray umarł. „Niech odpoczywa z Bogiem,” rzekł Franklin, „ja iestem jego wnukiem.” Prosił aby go zaprowadzono do mieszkania zmarłego, zaprowadzono go; i przewodzca dostał za fatygę dukata.

Jestem najpierwszy dziedzic majątku mego wuia, rzekł Franklin wszedłszy do domu. Da się to widzieć odpowiedział pewny, z którego smutney postaci można było czytać, że sobie rościł do dziedzictwa nadzieie. Tak, tak, da się to widzieć, rzekł Franklin. Moy wuy nie raz mi w listach przyrzekał, że testament z moim pożytkiem uczyni. Miał wolną wolą, i pewnie podług niey uczynił.

Po kilku dniach zszedł się urząd; przeżył zmarłego papiery, lecz testamentu nie było. „Jestem więc powszechnym dziedzicem iako naj-

bliższy z krewnych," rzekł pewny.  
A sąd utwierdził iego słowa.

Ja jestem najbliższym z krewnych rzekł Franklin. K'amiesz odpowiedział drugi. Wuy chciał mnie uczynić dziedzicem, wolał Filozof; mnie chciał uczynić, rzekł drugi, bo mnie najwięcej kochał. Ale mości pisarzu, rzekł Franklin nie prawdą, że wuy chciał mnie dziedzicem uczynić? „Prawda” odpowiedział pisarz, „to samo z ust iego słyszałem.” Jeżeli chciał, dla czegoż tego nie zrobił? czy nie miał wolney woli? czy nie mógł pódług niej czynić? „Nic o tym nie wiem,” rzekł pisarz. „Czemuż nie c oiał testamentu uczynić?” wszakże go chciał uczynić. „Czemuż go więc nie uczynił?” Bo śmierć go w ten czas napadła, kiedy to chciał uczynić. Ach! okropny przypadek, któryś mojemu wuiowi wykonać swoją wolą przeszkodził. „Od wieków jest przeznaczone” rzekł dziedzic, „abym majątek twoiego wuia otrzymał.”

N  
pot  
cyw  
te  
wa  
raz  
dzi  
Cze  
mó  
że  
dlu  
mn  
mi  
czy  
pa  
nik  
ni  
dz  
dl  
ty  
sta



## ROZDZIAŁ XIII.

### *Pożarunek.*

**N**adzieia Franklina, poniosła cios potężny. Z majątku swego wuia obiecywał sobie dni spokojne i mile, a te zupełnie zniknęły. Nie poymował, jakim sposobem wuy, który sto razy poprzysiągł, że mu zapisze dziedzictwo, bez testamentu mógł umrzeć. Czemuż wprzód nie przyszedłem? mówił do siebie, przekonałbym go że człowiek ma wolną wolą, i według niej może czynić. Wny wspominałby sobie że z wolney woli obiecał mi dziedzictwo, i bez wątpliwości uczyniłby był testament. Srogi przypadek! któryś mnie w ręce werbowników zaprowadził.

Filozof nie miał co więcej czytać w Amsterdamie; Holendrzy bardziej interesowali się wolnym handlem, niżeli wolną wolą. Gdzie tylko wszedł Franklin, stał się stał głowy tak pełne rachunków i cy-

fer, iż dla iego systematu kącika więcej nie było. Stracił więc nadzieie, zebrania fortuny przez swoją filozoficzną naukę. Bolało go także niezmiernie, iż inny te dobra posiadał, do których on sam miał prawo z woli swojego wuia; umyślił więc miasto opuścić.

Franklin postanowił mocno, od dziedzica swojego wuia szeląga iednego nie przyiąć. Ten młodzieniec widząc, iż Filozof w nie najlepszym był stanie, postanowił dać mu dwieście dukatow w nadgrodeń wydatku podróży. Przyszedł do niego, i ofiarował mu one z przyjacielską grzecznością. Franklin nie chciał ich przyiąć; lecz w tym samym momencie wszedł austernik do izby, i domagał się pieniędzy, za iadło i mieszkanie. To skłoniło Franklina do przyięcia pieniędzy, dla zaspokojenia gospodarza.

Dziedzieć opuścił Filozofa, którego niezmiernie dręczyło, że los w ten czas przywiódł gospodarza do izby, kiedy on nie chciał wziąć po-

dar  
lila

ścił  
pod  
woi  
zna  
mo  
wol

T  
dzi  
po  
był  
wo  
któ  
un  
go  
ok

Pa  
dlu

darunku i że iego obecność zniewo-  
liła go do przyjęcia pieniędzy.

Ponieważ te pieniądze, umie-  
ściły go w stanie wygodnego w  
podroży iechania, umyślił tak długo  
woiażować po świecie, pokiby nie  
znalazł miejsce miejsca gdzieby  
mógł spokojne i wesołe, podług swej  
wolnej woli życie prowadzić.

## R O Z D Z I A Ł XIV.

### *London.*

**T**rzeciego dnia po uchybionym  
dziedzictwie, zaczął Franklin swoje  
podroże. Naypierwszą iego myślą  
był Londyn. Wolny lud musi znać  
wolną wolą, musi tego szacować,  
który tak światle o niey rozprawić  
umie, „dobrze będzie iechać do nie-  
go,” rzekł Franklin i wsiadł na  
okręt.

Przybył szczęśliwie do brzegu.  
Ponieważ zaś wysiadanie cokolwiek  
dłużey bawiło, aby prędzey dostać

się na brzeg, wyskoczył Franklin z okrętu; lecz zawadziwszy nogą o okręt, przeciwko woli wpadł w wodę, masek schwycił go prędko za suknię i Franklin dał mu dukata.

Franklin przybył w dniach kilku do Londynu. Cokolwiek widział i słyszał, wszystko zdziwiał go. Odwiedzał kafiarnie i inne miejsca publiczne, chcąc o wolney woli rozmawiać, ale nikt o tym nie mówił. Franklin zadziwił się, wszystkie rozmowy miały za cel politykę i handel. Zdawało się iż Anglicy nie znali że mają wolną wolą. Nie podobano się to Filozofowi. Chciał zyskać sławę w Londynie, a mógł że ten cel otrzymać, gdy żaden z nich nie chciał o wolney woli rozmawiać?

Muszę się udać do prywatnych posiedzeń, mówił Franklin. Nie, rzekł znowu po małej chwili, ale potrzeba uczęszczać na publiczne obiady. Kiedy przy stole wszystkie troski składamy, kiedy poncz albo wino ożywi nasze duchy, w ten czas najchętniej o wolney woli mówięmi,



bo w ten czas najmocniej w nas czu-  
iemy iey bytność.

## ROZDZIAŁ XV.

### *Wolny Obiad.*

**F**ranklin udał się do iedney z naj-  
lepszych austeryi, gdzie zastał liczne  
towarzystwo. Siedli do stołu,  
lecz przy nim bardzo mało mówio-  
no. Franklin żałował mocno, iż za  
ieden obiad zapłacić musiał pół gwi-  
nei, nie mogąc przy nim mówić o  
wolney woli. Rozumiał ze tak cicho  
wstał od stołu, iak cicho przy nim  
siedział, ale pomylił się. Jak tyl-  
ko poncz przyniesiono, wszyscy ie-  
zyki rozwiązane zo stały. Głośne roz-  
mowy, wygnały powłzech e mlecz-  
nie, które paowało w czasie iedze-  
nia. Każde miał co opowiadać, kry-  
tykować, pretwarzać; wszyscy mo-  
wili lecz o iedney wolney woli. Franklin  
słuchał z przykrością, nie znacząc

cych iak mniemał bzdurzeń. Nie raz chciał zacząć mówić, ale nie dopuszczono mu. „Próżno” pomyślał sobie, „próżno zapłaciłem pół gwinei, gdybym nie rozmawiał w mojej ulubionej materji. Po coż bym przyszedł w to miejsce?” Czatował więc na okazy, gdy inni zmordowani wielomownością, cokolwiek się uspokoją, w ten czas postanowił zacząć o wolnej woli, i był przekonany że w krótkce wszyscy zamilkną.

Mówiono o osobie, którą minister bezprawnie zamknął w więzieniu. „Cały naród,” powiedział jeden, powinien przyjąć na siebie obronę tego człowieka, a ministrowi wydać wojnę. Literalnie dopełnić ustawy, jest to zasadą wolnego ludu.” Tu zamilkł mowca, Franklin korzystał z tej krótkiej pauzy, i mówił: „Tak moi panowie, iścieście wolnym ludem, poważam was szczególnie dla tego, bo wolny naród przekonany bez wątpienia bydl musi że wolną wolą posiada.” Franklin mówił długo o wolnej woli, i

Że od nas szczególnie zawisło, czy-  
nić podług iej chęci.

Jeden z obecnych przerwał mu.  
„Gadasz nam czyste bayki, czło-  
wiek nie może mieć wolney woli.  
Sklaniaią go do czynienia okoliczno-  
ści w których sam umieścić się nie  
zdola; sklaniaią tysiączne przyczy-  
ny, których postrzedz śmiertelne o-  
ko nie może; nasze głupstwo, albo  
jeżeli się nie podoba ten wyraz, nasz  
ograniczony umysł stworzył mniema-  
nie że posiadam wolność, którey po-  
siadać oyciec nawet duchow nie może.  
Naywyższą Istota musi koniecznie czy-  
nić podług prawideł porządku, a  
człowiek nie będziesz przymuszony  
do tego? człowiek maż być wol-  
niejszy od Boga? zdaniem Teolo-  
gow i wielu Filozofow, do których  
liczby WPan należysz, wolna wola  
zawisła na czynieniu podług upodo-  
bania, podług dziwactwa. Czynić  
podług upodobania, iest mieszać i  
przewracać każdy porządek, a tego iak  
powiedziałem dopiero, gdy nie może  
Bóg, nie może tym bardziey czło-

wiek Gdybyśmy mieli tę wolność, każdy tak tak mogło sto razy przez dzień zmieniać porządek natury, którego najmniejszą składają nasze czyny. —

Franklin przerwał z zapalem mowę przeciwnikowi twórego. „Jakim prawem utrzymywać możesz, iż wolnej woli nie mamy, i podług niej czynić nie możemy, kiedy zastanowiliśmy się nad własnymi czynami pozostasz z doświadczenia, że od nas szczególnie zawisło tak czynić albo inaczej. Patrz W Pan ciągnął daley, (a mówiąc to miał w ręce szklankę ponczu,) patrz W Pan odemnie szczególnie zawisło, albo wypić tę szklankę ponczu, albo nią w głowę iego ugodzić, obie te rzeczy mogę czynić, a wybór między z nich od mojej woli zależy.”

„Nie wykrzykuj W Pan,” rzekł obojętnie Anglik „z tą szklanką ponczu, inaczej może się stanie, niżeli W Pan zamierzasz.”

„Zaczę cię więc przekonam,” zawołał Franklin, „że to się z nią stać

nie o  
wiąc  
Niem  
do te  
chcę  
iż gło  
ry r

zę ze  
go r  
Filoz  
czył  
sukn  
żalu.  
„że  
zami  
na k  
Fran  
prze

Fr

I m  
nie



nie co ja chcę, chcę ją wypić; mówiąc to przyłożył do ust szklankę. Niemogęż tego uczynić? i iakąż mam do tego przeszkodę? lecz nie chcę iey wypić, chcę ją wylać na twoją głowę, mówiąc to podniósł do góry rękę.

W tym lokay biorący próżną wagę ze stołu, trącił przypadkiem w iego rękę, i poncz oblał nową suknią Filozofa. Zmieszany Franklin skoczył nagle od stołu. „Moja piękna suknia, (plamiona” zawołał głosem żalu. „Widzisz WPan” rzekł Anglik „że co innego się stało, niżeliś WPan zamierzał.” Wszyscy się śmiali, i na koniec rozeszli. Ey, Ey, mówił Franklin, wycierając swą suknią, przecież się nie dzieie iak ja chcę.

## ROZDZIAŁ XVI.

*Franklin obity porzuca Londyn*

**I**m dłużej Franklin bawił w Londynie, im częściej z Anglikami o wol-

ney woli rozmawiał, tym więcej doświadczył, że swoim wielkim żalem, że Anglicy w wolną wolą nie wierzą. Nie poymował iak narod rzetelnie wolny, mógł utrzymywać że nie ma wolney woli. Londyn i cała Anglia stały mu się w krótcie nieznośne, i postanowił iak tylko osobliwości miasta zobaczy, opuścić zaraz tę wolną wyspę, którey mieszkańcy wierzyli w nieuniknioną potrzebę.

Odwiedził Tower, Kingsborich, St. James, Westminster i wszystkie znaczne mieysca. Gdy pewnego wieczora zamyślał iść do domu, postrzegł na ulicy kilku pijanych. Młodzieniec utopiony w myślach, trącił przypadkiem iednego, i usłyszał grzeczne słowa. „Ten młodzieniec,” rzekł Franklin „miał swoją wolną wolą; mógł łatwo ominąć pijanych. Ty chcesz bydź rozsądniejszym, zniydziesz im z drogi i nie dostaniesz złaiania.” Mówiąc te słowa, zbliżał się do braci Bachusa. Toczyli się lewą stroną ulicy, Fránklin umyślił przejść na prawą. W tym wielki

wielki pies z pewnego domu wypadł ogromnie szczekając. Złękniiony Franklin, skoczył na drugą stronę ulicy, i tak mocno pijanego potracił, że obydwa padli na ziemię. Reszta pijanych rzuciła się na biednego Filozofa, i zsiąpiła mocno grzbiet jego. *God dam the french dogg* rzekli, gdy Franklin leżał bez zmysłów, i toczyli się dalej.

Minęła godzina, zaczęli Franklin wstać mógł na nogi; na szczęście, jego mieszkanie nie bardzo było odległe; zawlokł się powoli do domu; kazał na łóżko położyć, i musiał kilka dni nie wychodząc, nigdzie pójść.

Ten przypadek bardziej go jeszcze przeciw Anglikom rozjątrzył. Co za niezdolny naród, który się być wolnym rozumie, a w wolną wolę nie wierzy. którego pijacy garbują skurę Filozofów, który ich chce pominać, a który przeciw woli trąca jednego, i z nim upada na ziemię; umyślił zatem, natychmiast opuścić Anglię.

Poiadę do Hiszpanii rzekł Franklin, i ułożywszy swoje rzeczy, udał się na pocztę. Gdzie WPachcecz iechać, spytał się go pocztmayster. Franklin był zamyślony, powiedział do Dower. Zaprzężono, i Franklin wsiadł do pojazdu. Właśnie w ten czas przybył do Dower, kiedy pakebot odpływał. Zapłacił swoje miejsce, i płynął wesoly w mniemaniu, że do Hiszpanii iedzie.

## ROZDZIAŁ XVII.

### *Kale.*

**D**zięki Bogu! rzekł Franklin, wysiadłszy z Pakebotu. Dzięki Bogu! że inż iestem w Hiszpanii. Ten narod wierzy zapewne w wolną wolę, bo iest niewolnikiem Pápieża, i kazał swoje rzeczy do bliskiey zanieść austeryi.

*Monsieur! plait-il une chambre à part?* Spytała się go służebna,



Franklin.  
eczy,  
WPan  
poczt-  
lony,  
żono,  
Wła-  
ower,  
placili  
oły w  
edzie.

II.

, wy-  
Bogu!  
en na-  
wola,  
i ka-  
anieś

ham-  
ębna,

51  
Moy Boże! mówił Franklin. Francuzka mowa tak jest teraz powziętą, że nawet iey używają, służebne dziewczki w Hiszpanii.

Jestże król teraz w Madrycie? spytał się Franklin.

*Dieu l'en garde!* odpowiedziała służebna, nasz król jest teraz w Wersalu.

Co? mówił Franklin, wasz król w Wersalu? Wszak toczy wojnę z Francją?

Co się WPanu dzieie? nasz król ma toczyć wojnę z Francją? Franlcozi nadto swojego króla kochają, aby z nim mieli wieść wojnę?

Król więc Hiszpański jest w Wersalu?

Boże uchoway, rzekła służebna, król Hiszpański jest w Madrycie.

To sobie ze mnie blaznuiesz, rzekł Franklin.

*Pardonez Monsieur,* odpowiedziała służebna.

Czy nie powiedziałas mi, że król jest teraz w Wersalu?

Dij

*Oui, mais le Roi de France.*

Co mnie i tobie do króla Francuzkiego?

*Parbleu ! Monsieur beaucoup,* jest to nasz najmiłościvszy Pan.

Wszakże jesteśmy w Hiszpanii, nie we Francyi?

*Vous vous trompez.* Kale należy do króla Francuzkiego.

Czyli to miasto jest Kale?

Nie inaczej, odpowiedziała słuzebna.

Franklin pobiegł rozgniewany do portu. „Zeglarz zdradził mnie chciałem iechać do Hiszpani, a on mnie prowadzi do Francyi.” Franklin wyrzucił mu iego podeyscie, zeglarz odpowiedział, z Dower nie płyną okręty do Hiszpanii.

Ale ja nie chciałem iechać do Francvi.

Więc nie powinienes był W Pan kazać się do Dower prowadzić.

Moy Boże! rzekł Franklin, to chyba przez omyłkę kazałem iechać do Dower.

To tedy przez omyłkę jesteś  
WPan we Francyi.

## R O Z D Z I A Ł XVIII

*Franklin znayduie swego Ucznia.*

**F**ilozof wróciwszy do austeryi, za-  
dał osobney izby. „Nie ma już za-  
drey wolney.” odpowiedział austernik,  
młodzieniec świeżo przybyły  
naigł dla siebie ostatnią; ale że jest  
samotny, może WPana przyymie do  
siebie. Będę go oto upraszał i jeżeli  
WPan rozkażesz.

Biorę to sam na siebie, rzekł  
Franklin i kazał się zaraz prowadzić.

Austernik otworzył drzwi *Le  
voici Monsieur!* rzekł i zaraz się  
oddalił. Franklin wchodzi do izby.  
„WPan to jesteś? I iakże się tu do-  
stałeś?” mówili obydwu do siebie.

Pozna czytelnik z napisu tego  
rozdziału. że młody Pan, był synem  
hrabiego Witt. Na, pierwsze okę

rzucenie poznali się obydwu i tak gorąco ścisnęli, iak para rozkochanych, którzy po długim niewidzeniu oglądali się znówu.

Jakim sposobem opuściłeś WPan chorowitego oycę? spytał się Franklin.

Musiałem, odpowiedział hrabia.

Musiałeś WPan? nie, WPan nie mogłeś musieć. Wszakże masz wolną wolę.

Nie miałem iey w tym przypadku.

Odpowiedz mi więc WPan, iakim to bydz mogło sposobem.

Kochałem ogrodnika córkę, i byłem od niey kochany. Natura nauczyła nas rychło używać dzielnie miłości, i schodziliśmy się co noc do wielkiej altany, która łączy ogrod z laskiem przyległym. Pewnego czasu, udać się chciałem wcześnief na przeznaczone miejsce, i na podworcu zamkowym spotkałem oycę, który mnie wziął za rękę, i na przechadzkę prowadził. Chodziliśmy zbyt długo, i dopiero we dwie



godziny nad zwyczaj późniefy przy-  
szedłem do altany. Nikogo wniey nie  
zastałem. Chciałem wrócić do izby,  
i przypadkiem wszedłem do lask;  
chciałem się udać w prawą, a coś  
mnie w lewą wciągnęło, chciałem do-  
stać chustki z kieszeni, i wyciągną-  
łem noż. Wypadła z mey ręki laska  
chciałem ją podnieść i uchwycilem  
nogę. Gwałtu! dał się słyszeć na-  
gle głos, i poznałem, że to głos moiey  
dziewczyny; szukałem ręką, i uczu-  
łem, że coś na niey leży. Rozumia-  
łem że to iest zboyca, chciałem ją  
od niego uwolnić, i przypadkiem  
utkwilem noż w iey ciele. Umie-  
ram! zawołała. W tym porwał się  
nagle zboyca chciał na mnie gwał-  
townie uderzyć; ale potchnięty o  
korzeń drzewa, upadł na noż, zla-  
ny krwią mey dziewczyny, który  
przed sobą trzymałem. Chciałem po-  
wrócić do zamku, i obłąkałem się w  
lesie; nazajutrz poznałem że mi  
uciekać potrzeba. —

Nie powinienes być tak późno z  
izby wychodzić, odpowiedział Fran-  
z

klin; rozum powinien cię był nauczyć, że podobny krok zawsze jest niebezpieczny. Miałeś wolną wolę, i mogłeś czynić podług rady rozumu.

Nie prawda, odpowiedział młodzieniec, nikt nie ma wolnej woli.

Nie zależało od ciebie iść do altany lub nie iść?

Nie, odpowiedział hrabia.

Coż cię przymusiło do tego?

Wszakże mogłeś nie chodzić?

Chyba w ten czas, gdybym mey dziewczyny nie kochał.

Nie powinienes iey był kochać.

Więc ona nie powinna była być piękną.

Nie miałeś patrzeć na iey powaby, kiedy te były dla ciebie niebezpieczne.

Chybabym nie miał oczu. Wi-  
dzisz iak to co nas do czynienia przy-  
musza, ściśle łączy się z sobą.

I coż teraz chcesz czynić?

Nic nie chcę, muszę iechać do Anglii. Tam bez wątpienia wiele  
znaydę wolności.

Nie wierz temu. Anglicy wszyscy są niewolnikami. Utrzymują, iż wolney woli nie mają. Sami więc twierdzą, iż są niewolnikami wiecznego przeznaczenia.

Anglicy mówią dobrze.

Jedź ze mną do Paryża. Tam znaydziesz wolniejszych ludzi. Francuzi bowiem utrzymują, iż mają wolną wolą, chociaż są niewolnikami swego króla.

Niewolnicy zawsze mówią, iż są wolnemi.

Chcesz ze mną iechać do Paryża?

Jadę.

Widzisz więc, iż nasza wola jest wolna. Chciałeś iechać do Anglii, odmieniasz teraz pierwszy zamiar, i iedziesz do Paryża.

Tak muszę: przypadek chciał, abym cię znalazł w tych miejscach, twoie towarzystwo przymusza mnie, przedsięwziąć podróż do Paryża. Wszystko jest przeznaczone. Musiałem córkę ogrodnika zabić, musiałem uiechać, musiałem cię znaleźć w tych miejscach, muszę teraz iechać do Paryża.

## ROZDZIAŁ XIX.

*Zboycą.*

**F**ranklin i młody hrabia opuścili Kale. Między Amiens i Paryżem postrzegli dwóch ludzi, z których jeden leżał na ziemi i bronił się usilnie przeciw drugiemu, który całą mocą pugiasta dobywał. Nieborak mówił hrabia zlitowany, jeżeli mu nie przybędziem na pomoc, padnie pod ręką mordercy.

Trzeba nam czynić ostrożnie, odpowiedział Franklin, aby cierpiącego nie zranić. Hrabia wymierzył natychmiast pistolet. Pozwol mi strzelić rzekł Franklin, mogłbyś uchybić, a ja pewnie w zboycę ugodzę. Franklin wystrzelił, i zabił leżącego na ziemi.

Cożś uczynił? rzekł hrabia.

Ach! westchnął Franklin. Chciałem zboycę zastrzelić, a niewinnego zabiłem. Nigdy się tak nie dzieje, jak ja chcę.



Kiedy to mówił Franklin, już był na wozie ow, którego poczytali za zboycę. Hrabia rozumiał iż złoczyńca chce teraz na nich uderzyć. Wymierzył w niego pistolet, ale ten nie dał ognia.

Dziękuję WPanu, zawołał zboycą, żeś nieszczęśliwego wybawił. Dziwno mi za co WPan wymierzasz na mnie pistolet, złoczyńca który teraz duszę wyzionął, pierwszy uderzył na mnie, bojaźń dostarczyła mi siły, i rzuciłem go o ziemię. Nie miałem innej broni nad ten pugiń, siły opuściły mnie i nie mogłem go dobyć. Mocny złoczyńca widząc, iż mu szkodzić nie mogę, starał się mnie uszamotać, i wziąłby był zapewne osłabionemu życie, gdyby WPanow niebo, na moy nie sprowadziło ratunek.

Franklin i hrabia zdumieli się na te powieść. Coż więc chcesz spytał się drżący Filozof, który w tym zdarzeniu nic nie przewidział dobrego.

Chcę WPanom dziękować żeście mnie od zboycy wybawili.

Więc sam nie chciałeś go zabić?

Chciałem, ponieważ mnie wprzod-  
dy napastnął; ale w tey mierze wy-  
ręczyłcie mnie W Panowie.

Więc nie napastował go?

Nie, lecz on w ten czas na mnie  
uderzył, gdym się tego najmniej  
spodziewał.

Wielki Boże, rzekł Franklin,  
więc przeciw moiej woli zabiłem  
zboycę, a niewinnego wybawił.

Widzisz, odpowiedział hrabia,  
że nie możemy czynić co nam się po-  
doba; ale że wszystko od wieczności  
jest przeznaczone.

## R O Z D Z I A Ł XX:

### *Paryz.*

**P**odróżni wysiedli do *Hotel de Ma-  
dene*. Gdzież teraz poydziemy, spy-  
tał się Franklin, ieszcze bowiem da-  
leko było do wieczora.

Gdzie będziemy mogli, odpo-  
wiedział hrabia,

Poydziemy na operę komiczną, rzekł Franklin, zamówił powóz i rozkazał iechać niezwłocznie. Włożył do której ich zaprowadzono, siedziała dama wspierając przybraną, i przy blasku światła bardzo piękna. Włożył te damę w pośrodek nas, poszeptał hrabia swojemu mentorowi do ucha. Franklin przywołał. Siadł na lewy bok, a hrabia na prawym boku.

Dama była jedna z tych ludzi, które przez uprzedzającą drożość i gwałtowność, nie skończenie ułatwiają wzajemne się obeznania. Nie wyszło parę minut, a wszyscy trzej tak byli sobie zaufani, jak gdyby się kilka lat znali. Mówiono o różnych rzeczach. Nie słuchano wcale opery, i z większym upodobaniem powstało, niż gdyby żadne słowo uszu ich nie minęło. Na wychodzie dama i hrabia szepnęli sobie słów kilka, których Franklin nie słyszał, a które chętnie by był słuchał. Niebo! krzyknęła nagle dama, zapomniałam w łóżce złotej tabakierki. Przyniosę ją zaraz, rzekł Franklin. O uczyn

mi WPan te łaskę, czekamy go w tym mieyscu. Franklin poleciał tak. tak strzają. Dama i hrabia rozśmiali się wsiedli do powozu i odiechali.

Franklin powrócił zadyszony, ale bez tabakierki. Nie mógł iey znaleźć, i właśnie gotował kilka filozoficznych pociech dla ukojenia damy, kiedy ani damy, ani hrabiego nie zastał. Szukał usilnie; ale wszystko na próżno, nie było ani hrabiego, ani damy, ani powozu. W tym przechodziła mimo podstarzała panna, która widząc że Franklin jest obcym, spytała czyli nie zgubił czego. *Oui Madame*, odpowiedział Franklin. Możnaż się go spytać co zgubił? Franklin w pomieszanu, rzekł, powoz. Więc WPan szukasz powozu? Tak odpowiedział Franklin. A gdzież zamierzasz iechać — Do panny Nanetty. — Oto jest powoz, mówiła stara. Franklin uspokoił się. Wsiadł do pojazdu, stara przy nim mieysce zabrała. Franklin rozkazał *qu'on me n'ène chez elle! cela arrivera*, odpowie



działa stara, a pójazd natychmiast ruszył.

## ROZDZIAŁ XXI.

*Franklin wpada w pięknę towarzystwo*

Powoz stanął przed pięknym domem, na ustronnej ulicy. Franklin i stara wysiedli, we drzwiach przyięła ich para służących. Do której W Pan życzysz sobie, spytała jeszcze stara; powiedziałem, rzekł Franklin, że do najpiękniejszey, którą oglądałem na operze.

Nanetta była dziś na operze, edezwał się ieden z służących.

Tak, tak, Nanetta, ona sama, do niej życzę sobie, odpowiedział Franklin.

Zaprowadźcie Jegomości, rzekła uśmiechniona staruszka.

Obydwa służący wzięli Franklina pod ręce i zaprowadzili do pokoju Nanetty.

Nanetta siedziała na sofie w stroju, który więcey odkrywa, a niżeli zasłania. Słabe światło xiężycy, które oknem wpadło, oświecało pokoy. Okno przyległe łózkowi zaslonione było firanką.

Gdzież jest hrabia, spytał się przywniściu Franklin.

Nie masz tu żadnego hrabiego; odpowiedziała dama.

Zartujesz, piękna Nannetto; wszakże odiechał z tobą.

Przysięgam W Panu; iż tu nie masz żadnego hrabiego.

Franklin usiadł na sofie, objął stan damy jedną ręką, drugą dotykał się iey licow. „Prawda że nie masz, piękna dziewczyno,” uchwycił ią letko pod brodę, spuścił niżej rękę, i znalazł tak zwiędłą oporę, że iego ręka na iey łono opadła. Zimno przeięło Franklina, prosił aby kazala przynieść światła, dla dziwienia się bardwiey iey wdziękom. Nanetta zadzwoniła, i lokay przyniosł światła.

Prze-

Przebóg! iak zadziwiło Franklina, gdy zamiast powabney damy, z którą się poznał na operze, zobaczył starą i zwiędłą offiarnicę Wener-y. Doły, które na iey licach wiek i rozpusta wyryły, zarównane były farbą, która teraz zupełnie starta, żółtą i zmarszczoną skórę odkryła. Jey słabe i omdlałe oczy głęboko w głowę zapadły, zsiniałe wargi, ledwie zasłaniały ostatek żółtych, i wypruchniałych zębów, a szyiowa chustka nic nie kryła coby ciekawość oka, do weyźrzenia głębiey wabiło.

Na ten widok krzyknął straszliwie Franklin. Czegoż ci nie dostanie, *mon cher*? rzekła Nanetta, ścisłając go czule, i tak silny całunek kładąc na iego wargi, iż biedny Filozof ledwie nie omdlał. Co iesteś za iedna, spytał zdziwiony Franklin, kiedy cokolwiek odetchnął.

*Cette fille chez la quelle vous souhaitez, & qui est prête à satisfaire à vos desirs le plus tendres*, rzekła Nanetta z ognistym

spoyżrzeniem, na które ledwie nie zmarzył Filozof.

Fe, fe, rzekł Franklin, i wywinał się z iey uściskow, nie do W Panny życzyłem sobie Mademoiselle, tu mnie m-mo woli wprowadzono; nie chciałbam za wszystkie skarby świata. — Chciał odejść. Nanetta ciągnęła go gwałtem na sofę, pieściła się z nim czule, i użyła wszystkich sposobow najćwioźniejszego zwodnictwa. Wszystkie iey pieśczoły odrzucił Franklin ze wżgardą, usiłował wydrzeć się gwałtem z iey łona. Dama krzyknęła mocno, a stara wraz z lokajami weszli do izby.

*Quelle conduite Monsieur*, mówiła stara, *quelle conduite*, u powabaey dziewczyny, i nayusilniey pragnioney, tak się niegrzecznie zachować?

Nie ta iest, którey życzyłem sobie, odpowiedział Franklin.

*Cela n'empêche pas*, odpowiedziała stara, kaźdey damie winienesz szacunek.

*Mon Dieu*, rzekł Fraklin.

stara  
inacze  
wiesz  
leś. —

Wcale  
woli

kałow  
togien  
wsze

tey N  
wiek  
ney w

cy ch  
wykon  
batog  
netto  
wolał

netta  
persi  
aby s  
wykon



*Parbleu Mon-sieur!* mowila stara, nauczę go, iż w moim domu inaczej trzeba dziewczęta szanować; wiesz W Pan dla czego tu bydź chciałeś.

*Bon dieu!* zawołał Franklin, wcale nie chciałem, przeciw mojej woli tu jestem.

*Fripou, Caillon!* mowila do lokaiow, poczęstujcie Jegomosci batogiem, jeżeli nie wypełni, po co wszedł w moje progi.

*De grace!* zawołał Franklin, nie tę Nannetty życzę sobie, a człowiek może czytać podług swej wolnej woli.

Weźcie go, rzekła stara. Służacy chcieli natychmiast iey rozkazy wykonać. Franklin drzał na widok batoga, uchwycił za szarą pękłą Nannetty, i ratuy mnie od plag, zawołał.

*Oui mon petit coeur* rzekła Nannetta, przycisnęła go do zwiegl ch piersi, dała znak starej i służac m, aby się oddalili którzy niebawnie wykonali iey wolę.

Eij

Franklin nie wiedział co czynić. Nanetta cieszyła go, radziła mu, aby warunki wypełnił. Franklin ani chciał, ani zaprzeczył: Nie wiedział iak się stało — wypełnił wszystko. *Mon dieu*, rzekł z westchnieniem, wcale nie chciałem tego: *c'est fait Monsieur!* rzekła Nanetta, *je suis bien satisfaite de vous.*

Ale na pocztwość mówił Franklin, wcale nie chciałem, nie wiem iak się to stało. Nanetta rozśmiała się i rzekła, tak iak wszystko na świecie się dzieie. Wzięła mu zegarek i worek, zadzwoniła, a służący wyprowadzili go z domu.

Wyfzedłszy na ulicę mówił. Wszedłem mimo woli, w bardzo rokoszne towarzystwo.

## R O Z D Z I A Ł XXII.

*Franklin i hrabia, uskarżając się wzajemnie na konieczność.*

**F**ranklin kazał sobie drogę do *Hotel de Modene* pokazać, i iuż tam zna-

łazi hrabiego, który przyjął go ze śmiechem. „Masz się czego śmiać” rzekł Franklin, „mógł byś wybornie płakać, moy zegarek! moje pieniądze.”

Moy zegarek! moje pieniądze! żartujesz sobie ze mnie. Lecz śmieszna jest, żalić się na to, co bydź inaczej nie mogło,

Co bydź inaczej nie mogło! Nie prawda, wszakże z wolney woli odbiegłeś mnie na teatrze.

Mogłem mieć wolną wolą, patrząc na piękną fioletkę? Jey zwodnicze powaby, znagły mnie do wszystkiego. „Będzie rzecz bardzo zabawna,” szepnęła mi do ucha, „kiedy on nas nie znajdzie.” To nakłoniło mnie pozwolić na iey zdradę. Zart będzie zabawniejszy gdy przed nim do mego domu uideziem, to nakłoniło mnie do iechania w iey towarzystwie. „Wstąpmy do mego mieszkania, dla ochłody i zasilenia,” to nakłoniło mnie do wniścia do iey domu. Jey powaby skłoniły mnie na coś innego, a iey paluszki zamieniły w swą wła-

70  
sność, mój zegarek, moje pieniądze.  
Widzisz, że w tej mierze nie chciałem  
mogłem, i nie wiedziałem nawet, że  
byłoby coś miało być.

Franklin odpowiedział hrabiemu,  
własne zdanie. Ten znalazł się peł-  
nym gardłem z ładnej dziewczyny i  
Filozofa. „Ale spotkał się hrabia, jak-  
żeś chciał. — Nie, przerwał Franklin,  
nie chciałem iść do niej, ale sze-  
dłem za tobą, a przeciw mojemu woli  
wprowadono mnie do obmierzłego  
domu.

Wierz mi rzekł hrabia, nie mo-  
żemy zrobić co chcemy. Wszystko  
dzieje się samo. Musieliśmy chcieć  
iść na operę, musieliśmy usiąść w  
łóży, w której piękna filotka siedziała,  
musiałem cię samego zostawić, abyś  
poniewolnie iechał do domu rozwi-  
złego, musieliśmy obydwaj zegarki i  
pieniądze stracić.

Franklin rozumiał, że inaczej  
wszystko stać się było powinno.

Oddał smutek na stronę, mówił  
hrabia obudwoch nas podobne losy  
spotkały.



Tak, odpowiedział Franklin!  
Tobie piękna dziewczyna wzięła pie-  
niądze z zegarkiem, ale mnie...  
Wszystko to jedno rzekł hrabia.

Ja tak nie trzymam, rzekł Fran-  
klin.

## ROZDZIAŁ XXIII.

### *Ekzekucya.*

**D**la pocieszenia biednego Filozo-  
fa, darował mu hrabia piękny zega-  
rek, i worek pełny pieniędzy. Fran-  
klin podziękował grzecznie, i przy-  
rzekł, że nic mu się więcej podo-  
bnego nie stanie..

Jeśli inaczej przeznaczono, od-  
powiedział hrabia, próżnobyś usilo-  
wał losu twoiego uniknąć.

Od czegoż mam rozum? od cze-  
go wolną wolą?

Ah rozum! mówił hrabia, nie  
czyniemy podług rozumu.

Przepraszam, mości hrabio, Fi-  
lozof czyni zawsze podług rozumu.

Da się to widzieć, rzekł hrabia.

Gdy tak obydwaj o rozumie i wolnej woli mówili, przyniósł gośpodarz śniadanie, i spytał się oraz, czy nie chcą przypatrywać się exekucyi? Miano karać młodzieńca, dobrej famli, i wybornego wychowania. Cały świat, przydał gośpodarz (oznaczając tym wyrazem Paryż) nie może pojąć iak podobny człowiek mógł być zdatnym do takiego występuku.

I coż on więc uczynił, spytał się hrabia.

*Mon dieu!* odpowiedział gośpodarz, zabił swojego oycę.

Co za złoczyńca! zawołał Franklin.

Nieszczęśliwy, mówił hrabia i cicha łza upadła z jego oczów.

Trzeba go widzieć, rzekł Franklin.

Nagotowano parę koni: Franklin i hrabia wyiechali.

Mnostwo ludu zebrało się na widok. Wszyscy wyjąwszy kilku mieli postać służącą do wesołej komedyi.

W tym dała się widzieć straszliwą procesyja, mnóstwo ludu towarzyszyło nieszczęśliwemu, który z wiązanemi rękami wiedziony od dwóch katów. Spokojnie szedł na plac śmierci. Był to młodzieniec lat 18. lub 19. mający, wysoki i wzrostu cienkiego, czoło iego było pięknie zaokrąglone, oczy wielkie i czarne, spowrzenie wdzięczne, postać poważna. Jego cała istota iednała mu szacunek, i miłość. Aczkolwiek litość nie zwykła bydz udziałem, patrzących na podobne widoki mało było osob przytomnych, którzy by go nie żalowali. Płeć piękna udarowała go nawet łzami.

Miano mu uciąć prawą rękę, potem głowę, a na ostatek przebić palem iego serce. Słuchał swego wyroku, z taką stałością i uspokojeniem, że w iego wieku, i przy ogniu który w iego oczach widziano, wzbudzili nie pośpolite zadziwienie, i z tą samą stałością, z tym samym uspokojeniem, z nieodmienionym kolorem twarzy, ukłęknał na

dokónanie wyroku, położył rękę na  
pnaku, którą za osobliwszą łaską,  
wraz mu z głową odciął.

Lzy które podczas wyprowa-  
dzenia, cicho z czułych oczu pada-  
ły, płynęły teraz z głośnym łkaniem.  
„Nędzny i nieszczęśliwy młodzieniec,”  
słyszano wiele mówiących, los iego  
nadto jest smutny, mówili iedni, wy-  
rok iego nadto jest ostry, wolali dru-  
dzy. Hrabia płakał także głośno.  
„Gdybym był iego sędzią, nie ska-  
załbym go na śmierć, warta nay-  
większej litości.” Nie warta żadney,  
rzekł Franklin, miał wolną wolą,  
miał rozum, który powinien był ie-  
go wolą kierować. Dla czegoż nie  
słuchał iego rozkazow? Dla czegoż  
zamiast dobrego, złe upodobał sobie.

Mylisz się WPan, rzekł młodzie-  
niec, siedzący w podłę Franklina na  
koniu, i z zamyśloną uwagą na cały  
widok patrzący. Człowiek naglony  
jest do swych czynności. Ja, WPan  
i ktokolwiek inny, popełniłby iego  
występek, gdyby się w iego położe-  
niu znajdował.



Na cożby nam się więc zdawa wol-  
na wola? rzekł Franklin,

Wolna wola! wolna wola!!! za-  
wołał młodzieniec na koniu; ale nie  
tu miejsce do mówienia w tej mata-  
ryi, jeżeli mogę służyć im do ich  
mieszkania, albo jeżeli będę miał ho-  
nor bytności ich w moim domu, rzecz  
całą im opowiem.

Hrabia prosił go, ażeby z niemi  
poszedł do ich gospody.

Młodzieniec przyjął prozbę hra-  
biego. z oaygrzeczniewszm uklonem,  
spiął ostrogami konia i wrócił z hra-  
bią i Filozofem do miasta.

## R O Z D Z I A Ł XXIV.

### *Historya Winowaycy.*

**II** Hrabia przynaglił młodzieńca do  
zostania na obiad, jedli dobrze, a  
pili jeszcze lepiej; lecz Franklin  
któremu klutnia o wolney woli, miła

sza była nad iedzenie i picie, kazał rychło sprzątnąć ze stołu.

Powróćmy, mówił do naszej znowu rozmowy. Człowiek ma wolną wolą, ma rozum, ten mu obwieszcza co iest złe, a co iest dobre; tamta może iedno z oboygą wybierać. Jego wybor nie podpada żadney przeszkodzie, i to co raz ułożył, szczerze od niego zależy. Obiera złe zamiast dobrego? warta więc, naszej litości, osobliwie ieżeli złe takiego iest gatunku, iak *np.* zaboystwo oycy, iż na niego wzdryga się nasza natura.

Pięknie WPan mówisz, rzekł uśmiechniony młodzieniec; lecz zamiast oporu iego słowom, opowiem mu historyą nieszczęśliwego z którym żyłem w przyjaźni, a z niey WPan wniesiesz, że człowiek nie ma wolney woli, lecz od okoliczności nie zależących od niego, do czynienia iest przymuszony.

Hrabia okazał młodzieńcowi, u podobanie i żądze sluchania iego powieści. Franklin był w naywyższym stopniu nie kontent. Rozumiał, iż

przypadki, nigdy tyle dowieść co Syllogizmy nie mogą, i chętnie by słuchał rozumowania informą; ale że hrabia chciał słuchać historyi, i on także musiał ucha nadstawić.

Młodzieniec tym sposobem zaczął historyą.

Destyne, tak się nazywał stracony dopiero młodzieniec, a moy najwierniejszy przyjaciel, miał najpowabniejszą matkę, a bardzo złego oycą. Od najpierwszego dzieciństwa miłowała go matka, a nienawidził oyciec. Naypowabniejsze przymioty nie mogły nieszczęśliwemu miłości oycą pozyskać. Dla najmniejszego drobiazgu surowo od oycą gromiony, w ten czas nawet karę odbierał, kiedy zasłużył nadgodę. To tym bardziej rozdrażniło chłopca, iż najmniejszej proźby od swego oycą nie zyskał. Dzieckiem będąc drżał niezmieennie na widok oycowskiej tyranii, doszedłszy lat młodzieńca, zabrał ku niemu nienawiść.

Oyciec Destyna, wraz z synem prześladował i matkę, gryzł ją w każ-

dey okazji, co ieszcze bardziej roz-  
iąrzyło serce młodzieńca. Destyne  
z niedostatku pieniędzy, wyrzec się  
musiał wlızstach uciech, które w  
młodem wieku ciągnę do siebie ser-  
ce człowieka. Zle i ieszcze gorzej  
ubrany, niż dzieci ubogich rodziców,  
nie mógł pokazać się w żadnym po-  
siedzeniu, w żadnym publicznym  
mieyscu, bez zyskania szyderstw głu-  
piś trępiotów. Raz odważył się do  
Tulery po ść i został od wszystkich  
wysmiany. Pełen gniewu powrócił na-  
zad do domu, zgrzytnął zębami na  
oyca, lecz milczał i znosił ieszcze:

Przeciśniony ciężarem smutku,  
rzucił się raz do nóg oycowskich,  
prosił go ażeby kilka dni wesółch  
zabaw pozwolić raczył synowi, któ-  
rego całe życie upłynęło bez nay-  
mniejszey uciechy, bez naymniey-  
szego używania rozrywek. Dziki oy-  
ciec odepchnął go w gniewie i rzekł:  
Nie wartas tego co dotąd używasz.  
W tym złażeniu powstał w sercu  
młodzieńca zapat, który jego rękę  
podniósł na zadławienie oyca. Nie

zadu  
pod  
puś

ko  
mło  
daru  
lad  
nę  
odzi  
ra  
pięk  
dzie  
zew  
zgo  
m t  
ku  
ku  
iey  
nie

cal  
wif  
fp  
wi  
wa  
cō



zadrzał, nie wzdygnął się na myśl podobną, z tym wszystkim rękę opuścił.

Choć pospolicie, wspaniałe tylko szaty zyskały serca kobiet, i ich młodość, kosztownemi szczegółnie podarunki zakupioną być może, znalazł jednak mój przyjaciel dziewczynę, która go, w nikczemnym nawet odzieniu, powabnym być uznała, która bardziej jego postać słachetną, piękne umysłu i serca przymioty, bardziej jego wartość wewnętrzną, niż zewnętrzny pozor ceniła. Ich dusze zgodziły się, i w krótko związała ich miłość na wieki. Destyna przy boku swej kochanki, zupełnie smutku zapomniał, i był szczęśliwym z jej obcowania, lecz to trwać długo nie mogło.

Kochanka Destyna, nie miała wcale majątku. Pracą rąk własnych żywiła siebie i matkę; jej serce było spokojne, gdy mogła swoich obowiązków dopełniać. Lecz zachorowała jej matka, a czule serce dobrej córki, cierpiało niezmiernie iż matce

w swoich bolach pomodz nie mogła. Zysk pracy nie wystarczał na konieczne wydatki. Ujęła sobie pokarmu, lecz i to mało dyło do zapłaty apteki i lekarza. Destyne znalazł w łazach kochankę, i serce iego wzięło w podział iey bole. Wspomógł by ią był bardzo chętnie, lecz nie miał czym nieszczęśliwy. Dziewczyna zupełnie matką zajęta, zapomniiała niemożności Destyna w iey wsparciu. Zakieła go na swoje miłość, prosiła ze łzami, aby iey tyle dał, ile wystarczyć mogło na pomoc nędzney matki. Nie mógł się oprzeć Destyne, proźbie i łzom swoiey kochanki. Przyrzekł iey wsparcie z najsświętszym zapewnieniem, a wracając do domu, myślił dopiero jakim sposobem mógł przyrzeczenie wykonać.

Wielokrotne doświadczenie nauczyło go, iż od swojego oycy nic się nie powinien spodziewać. Coż tu miał sobie począć? Obiecał pomoc swoiey kochance, powinien był słowa dotrzymać. To skłoniło go do postępku o którym w własney potrzebie

nie myślił, skłoniło go do okradnie-  
nia oycy. Polpieszył do domu po-  
dwoionemi kroki. Wylupał skrzynię  
owcy, wziął z niej kilka set lwrow,  
i spieszył do swej kochanki tak spo-  
koyu, tak wesół, iak gdyby wyko-  
nał nayszlachetnieyszy uczynek.

Oyciec jego wiedział już dawno  
o miłości swego syna, i ta niewinna  
roskosz, miała być zaprzeczona  
nędznemu. W zamiarze dania mu  
groźnych rozkazow, nie uczęszczania  
więcej do niej, przyszedł do  
domu, i zastał wylupaną skrzynię.  
Pytał się z gniewem służących, kto  
był w tajemnym pokoju. Odpowie-  
dziano że syn. Wyszedł rozżarty z  
domu i pobiegł do nieszczęśliwej  
kochanki, nieszczęśliwego syna. Zna-  
ła t oboje w zachwyceniu szczęśli-  
wych uczuciow, z których ich wybił  
piorunujący głos jego. Co za prz kro-  
ści musieli nieszczęśliwi wytrzymać!  
Nazwał dziewczynę rozwiołą, która  
jego syna uwiodła, i do kradzieży  
skłoniła. Obił w iey oczach swego  
syna i nie oszczędził nawet iey samey-

Zgrzytnął syn, podniósł na oycę rękę, ale ten wybiegł z domu. Boleść, i gniew rozdzierały duszę młodzieńca. Pospieszył za swoim oycem, i zastał w domu białego matkę, że swego syna zepsuła. Tyś go zepsuł zawołał nieszczęśliwy, porwał noż leżący na stole, i przebił nim piersi oycę, mówiąc: *Umrzety tyranie, któryś mi nie chciał być Oycem.*

Taka jest historia nieszczęśliwego, którego dziś ustawy straciły, a którego śmiercią większą nierównie popełniły zbrodnię, niżeli on zabiciem oycę własnego. Powiedźcie Wspanowienie, czy nieszczęśliwy miał wolność inaczej czynienia, czy nie był do swego postępu od okoliczności znaglony?

Hrabia przerywał często łzami jego słowa. Franklin wstrząśnieniem głowy. Nakoniec rzekł Filozof:

To nie dowodzi, iż ten zaboyca nie miał swęj wolney woli. Głos natury powinien w nim głośniey być mówić, a niżeli głos zemsty; pier-



wszego słuchać, drugi przydusić, zawisło było od iego woli. —

Co za rozum! przerwał młodzieniec. Głos natury — jest Mospanie czystą chimerą. Natura nie mówi za rodzicami w naszym sercu, szczególnie głos wdzięczności wzbudza nas do ich kochania. Jeżeli żadne dobrodzieystwa nie łączą nas z rodzicami, coż nas do wdzięczności nakłoni? — Ale zbaczam od pierwszego zamiaru. Rozumiem, iż w podobnych okolicznościach każdy człowiek podobnie musiałby czynić, a jeżeli każdy tak czynić musi, możemy mówić, że człowiek ma wolną wolą.

Mniemam, rzecze hrabia, że ten barbarzyniec, nie był prawdziwym oycem nieszczęśliwego, podobno iego matka — rozumiesz mnie WPan, i dla tego los iego nędzny był mu od wieków przeznaczony. Jego matka powinna go była dostać z kim innym, aby mniemany oyciec nie miał do niego miłości. Syn powinien był oycę nienawidzić, i na ostatek zabić.

Fij

## R O Z D Z I A Ł XXV.

*Franklin wpada w Sięła.*

**W** gospodzie w której stał Franklin, niał pewny pułkownik tuż wpodle niego mieszkanie. Ten miał młodą i piękną żonę, która na Filozofa wzrokiem miłości spoyrzała, i swoją namiętność poznać mu dała wyrażaie. Jeżeli piękna pułkownikowa zakochała się mocno w Filozofie, hrabia równie się w niey zakochał. Mówił o tym często z Franklinem. Filozof użalał się że go pułkownikowa swoją miłością morduje. Hrabia, że ku niemu tak jest nieubłagana, tak zimną.

Gdy Franklin swą obojętność do naywyższego stopnia posunął, wpadła pułkownikowa w rozpacz. Ta uwiodła ją do uczynienia kroku, który szczególnie gwałtowna miłość u niewinności potrafi. Pisała do Filozofa bilet, w którym mu miłość swoją w naygorętszych wystawiła wyrazach,

i na *rendez vous* dziesiątą w nocy naznaczyła godzinę. Jey albowiem mąż o pierwszej dopiero zwykł był wracać do domu. Gdy Franklin czytał bilet, rozmawiał hrabia z pokojową i przyrzekł iey dobrą nadgodę, jeżeli mu tajemne zniście z swoją panią wyiedna. Ta obiecała mu wzystko, i weszła do pokoja, odpowiedź Franklina odebrać. Filozofowi spodobała się pokojowa. Więcey masz mówić powabow, niżeli twoja pani, i coś iey szepnął do ucha. Pokojowa uśmiechnęła się, zrobiła grzeczny ukłon, i niosła do pani odpowiedź która zawierała, wyraźne odrzucenie iey proźby.

Hrabia zaczął znowu o swojej mówić miłości. Franklin dał mu do przeczytania bilet pułkownikowey i biedny hrabia zawołał z żalu: szcześnie, musisz ją tedy odwiedzić!

Nie, odpowiedział Franklin, nie muszę, moglbym prawda chcieć, lecz wcale tego nie chcę.

Gdybym na twoim miejscu, rzecze hrabia był podobna proźba ko-

niecznie by mnie znagliła, rzucić się na łono narpowabniey zey z kobiet.

Mity hrabio, rzekł Franklin, człowiek ma wolną wolą, ma rozum, który iego wolą nakłania, ma władzę czynienia podług woli. Gdybym iść do pułkownikowey zamierzył, iak łatwo mogłoby z tego nayprzykrzaysze skutki wyniknąć. Cożby się stało, gdyby pułkownik przed czasem przybył do domu? Ja i iego żona, bylibyśmy nieszczęśliwemi. Widzisz co mówi rozum, słucham go, i nie chcę do niey iść, a ponieważ nie chcę; nie poydę.

Hrabia westchnął i nic nie mówił.

Po południu otrzymał hrabia biletik od pokojowey, w którym mu pisała: iż pułkownikowa zezwoliła na iego prozbę, że ma przviść o godzinie dziesiątey do sypialnego pokoju, z warunkiem iednak aby tam nic nie mówił. Te wyrazy wprawiły hrabiego w najsłodsze zachwycenie. W resztuiącym czasie wystawił sobie uciechy, których miał na



łonie piękney pułkownikowey kosztować.

Pokoiowa nie odkryła swey pani zaprzeczającej odpowiedzi Franklina, lecz zapewniła ją, że nie zawodnie przyydzie. Podarunek hrabiego zaślepił ją. Umyśliła hrabiego na miesce Franklina podstawić, mniemała bowiem, że pułkownikowa nie postrzeże tey sztuki. W tym zamiarze rozpisała bilecik o którym dopiero wspomniono, i nagotowała wżystko do przyjęcia obu kochankow.

Łatwo czytelnik zgądnie co Franklin pokoiowey poszepnął. Była to namowa na którą ona przystała. Franklin miał piękną urodę, a kiedy iego powaby tak wielkie uczyniły na pułkownikowey wrażenie, upraszamy navgrzeczniey wszystkie poważne matrony, aby podobną słabość, łaskawie pokoiowey darowały.

Nakoniec biie dziesiąta godzina, Franklin wkradł się po cichu do pokoiocki, a hrabia pobiegł na łono pułkownikowey. Przedpokoy dwoie drzwi miał: na prawey stronie

była izba pułkownikowy, na lewey  
pokoiovey. Ta do hrabiego i do Franklina posłała parę biletow, w których wyznaczyła drzwi, które miał każdy otworzyć. Służący odmienił kartki, hrabia omylił drzwi i poszedł w lewą, równie jak Franklin w prawą. Oba szczęśliwi ledwie co kilka minut u swoich bogin bawili, kiedy pułkownik wrócił do domu. Chciał jeszcze odwiedzić piacką kompanią, ale potchnięty o kamień, zranił cokolwiek głowę, i został przymuszony wrócić do domu. Wchodzi do pokoju swej żony i znajduje biednego Franklina, w takim z pułkownikową położeniu. w jakim niegdys Mars został u Wenery od Wulkona zdybany. Pułkownik był to człowiek gniewliwy, odciągnął Filozofa za włosy, od boku swojej żony, i tak długo trzcinał chędożył, aż mu osłabła ręka. Tym czasem pułkownikowa uniewinniała się, że Franklina swoim mężem być rozumiała, i tała mocno jego bezwstydną zuchwałość. Pułkownik zgarbowawszy skór-

rę Franklina, kazał go za drzwi wypchnąć.

Hrabia nie bez bojaźni słyszał łoskot w izbie iak mnieiał pokoiowey. Rozumiejąc więc, że pułkownik idzie odwiedzić swoje boginią. nie chciał czekać jego przybycia i uciekł iak nayspieszniej; lecz iak się mocno zadziwił, gdy Franklin cały przypadek opisywał wrzaskiem bólesci.

Bateś u pułkownikowey, rzecze hrabia, to nie podobna, wszak ia iść do niej chciałem.

A ty westchnął Franklin. u moiej piękney bawiłeś pokoiowey, do której ia zamierzylem.

Tam więc obydwa byliśmy, gdzieśmy bydź wcale nie chcieli.

Ach na moje nieszczęście! nigdy się tak nie dzieie iak chcę.

Mnie to iest wszystko iedno ponieważ tak bydź musiało, iestem kontent z tego przypadku.

Ia nie, odpowiedział Franklin.

Pułkownik był to staro gaduła nie utrzymał w sekrecie zdarzenia, i zaraz nazajutrz wiedział o nim dom ca-

ły. Każdy się śmiał z Filozofa, który chęć iść do pokojowej, wszedł do pułkownikowej i tam mocne kiie otrzymał. Te szyderstwa tak tkliwe były dla biednego Franklina, iż prosił hrabiego, aby wraz z nim Hotel de Medene opuścił. Zlitował się hrabia nad nim, zapłacił gospodarza i przenieśli się na inną stronę miasta.

Franklin myślał sobie: Tę razą mimo woli, źle zapłaconym zostałeś i wpadłeś w sidła, których chciałeś uniknąć; lecz będziesz rozsądniejszym na przyszłość, i bezwątpienia nic ci się podobnego nie stanie. Poprzysiągł uroczyście, największą używać ostrożności, i tak dokładnie odważać wszystkie podobne przypadki, aby mu nic przeszkodzić nie mogło podług woli swej czynić.

R  
Fran  
dz

F  
r  
chadz  
byli  
głos  
moc.  
Frank  
hrabi  
czyni  
stwor  
neral  
fauna  
położ  
Matk  
Hrab  
nim c  
czyn  
iey.  
niko  
ści o  
sza  
wzię  
ści



## R O Z D Z I A Ł XXVI.

*Franklin chce bronić niewinności  
dziewczyny, i oszukać ją.*

**F**ranklin i hrabia, wyszli na przechadzkę pięknym wieczorem, przybyli na odległą uliczkę, i usłyszeli głos młodey kobiety wołającej o pomoc. Chcemy ją oswobodzić, rzekł Franklin. Muszemy iey bronić, rzekł hrabia, pchnął drzwi i spieszył dziewczynie na pomoc; znaleźli powabne stworzenie od 18. lat, pod ręką jeneralnego celnika, który dzikością fauna chciał biedną dziewczynę do położenia zgodney nimfy przynaglić. Matką siedzią w kącie płacząc. Hrabia uchwycił celnika, i rzucił nim o ziemię. Nie boysię ładną dziewczyno, mówił do niey, i stanął przy iey boku z spoyżrzeniem, które celnikowi całą chęć do świeżey napaści odjęło. Ten widząc, iż rozsądniejsza jest rzecz ustąpić teraz z placu, wziął swoy k pelusz i płaszcz i opuścił dom z groźbami zemsty.

Franklin i hrabia kazali sobie opowiedzieć przyczyny postępków celnika, i poznali że matka sama córkę jego władzy oddała.

Co? Mościu pani, rzekł Franklin, sama chciałaś twoje córkę znieważyć.

Ach chciałam! bo byłam przymuszoną.

Przymuszoną? nie prawda, wszak miałaś wolną wolą.

Pozwolicie W Panowie opisać okoliczności, które mnie do tego znały. Zaczęła więc opowiadać, że jeneralnemu celnikowi trzysta liwrow była winna, że o tych wypłacie usilnie celnik nalegał i tylko pod warunkiem gdyby iey córka zaspokoila jego żądze odwlecz zapłatę na czas inny obiecał, że w przypadku wzbraniania się pogroził iey więzieniem, i że nakoniec, matka z bólażni bastylji, wydała mu swoją córkę.

Rzecz to szkaradna powiedział hrabia.

Rzecz niegodziwa powiedział Franklin, mimo tego wszystkiego nie miałaś nigdy pozwalać, bywszy to-

bą ni  
dob

szey

Fran

sto l

winn

Fran

ność

wize

ią w

rego

prze

dzie

nieg

wpu

Matk

temu

z pa

nie

pow

by nie odważyłbym się na krok podobny

Ach wiele czynić mimo chęci naszej musimy, rzekła matka.

Ja nie podobnego nie czynię, rzekł Franklin.

Nie boy się mówił hrabia, oto sto ludorow, które zachowają niewinność twoiej córki.

To nie skuteczny środek, rzekł Franklin.

Czyli znasz skuteczniejszy?

Znam, umieszczę iey niewinność, w stanie bezpieczeństwa od wszelkiej dalszej napaści, polecę ją w opiekę leutnanta policyi, którego władza obroni ją od dalszego prześladowania. Po, dź powabna dziewczyno, zaprowadzę cię zaraz do niego, nie jest ieszcze zbyt późno, wpuści nas bez wątpienia do siebie. Matka i córka złożyły dzięki wspaniałemu Filozofowi, a Franklin poszedł z panienką do leutnanta policvi.

Franklin kazał się obwieścić, ale nie był wpuszczony; prosił ażeby powiedziano że ma interes naglący,

idzie bowiem o niewinność panienki dla której pod skrzydłami rozsądnej policyi szukam obrony przeciw swym prześladowcom. Leitnant policyi dozwolił wnieść panience, a rozkazał Filozofowi zaczekać.

Uczyniłeś teraz według zamiarów twojej woli, mówił do siebie Franklin, chciałeś bronić niewinność panienki, i obroniłeś ją. Jestem dziś mocniej przekonany, że człowiek ma wolną wolę.

Jeszcze Franklin coś więcej z sobą rozmawiał, kiedy panienka wyszła z pokoju, iey oczy były zapłakane, iey postać zagniewana, iey szaty w nieporządku. „Zdrayco, szkaradny zdrayco,” rzekła Filozofowi: „takiż to był twój zamiar?”

Coż ci takiego dobra panienko? Czy leitnant policyi zaprzeczył ci swojej opieki?

Ha! w pozorze bronięcia mey niewinności, oddałeś mnie na łup temu łotrowi, mówiąc te słowa, pluła w twarz Filozofa.



Dalibóg! nie rozumiem cię mo-  
ie dziecko.

Dziewczyna czyniła Franklinowi  
nieustanne zarzuty, a ten nie mógł  
pojąć dla czego? Nakoniec poznał  
rzecz całą.

Biorę na świadectwo Boga, że  
takich nie miałem zamiarow; lecz  
miałem dziecko jeżeli leutnant policyi  
coś podobnego żądał od ciebie, nie  
powinnaś była jego żądań odrzucić.  
Człowiek ma wolną wolę, i gdybyś  
nie zezwoliła była, nic by się było  
nie stało.

Ach! wola dziewczyny rzekła nie-  
jest wolną w takich przypadkach  
westchnąwszy biedne dziecko.

I nie miałaś igły do wyklucia  
mru oczow?

Dziewczyna odeszła z wżgardą  
od niego.

Smiesz na rzecz, pomyślił Fran-  
klin, chciałem niewinność tej pa-  
nienki zachować, i zostałem przy-  
czyną iey chańby; chciałem iey wdzię-  
czność pozyskać, a ona plunęła mi  
w oczy.

## R O Z D Z I A Ł XXVII.

*Franklin popełnia zbrodnię przeciw narodowi i idzie do Bastyllii.*

**L**eitnant policji skłonny był do wdzięczności, zalecił Filozofa kardynałowi \*\*\* i ten obdarzył go urzędem pierwszego sekretarza, spodziewała się podobno iego eminencya, że Franklin tę samą kiedyś wyświadczy mu usługę, którą uczynił leitnantom policji.

Franklin sprawował gorliwie swój urząd, nie mógł jednak dogodzić kardynałowi. Nie polecił bowiem w iego obronę żadney niewinney panienki. „Coż tego za przyczyna,” myślał sobie Franklin, że kardynał do tych czas z ciebie nie kontent? Nie brakuje ci na gorliwości w iego usługach. — Wielcy panowie mają osobliwsze dziwactwa, może się znajdziesz okazya w której będziesz mógł fawor iego eminencyi odzyskać, i tej zapewne bezpożytecznie nie puścisz.” Od

tego

tego momentu starał się całą siłą  
 ła kę kardynała pozyskać; lecz wżyst-  
 ko nadaremnie. Takie mu przykrości  
 czyniono, iż Franklin zaczął wresz-  
 cie nienawidzić kardynała, i posta-  
 nowił szukać na niego zemsty.

Francya była na ten czas uwi-  
 kłana w wojnę, którą w Paryżu kar-  
 dynał i metresy króla kierowały, to  
 jest: wynajdywali plany działania,  
 posyłali one jenerałom, a ońcie wier-  
 nie wykonywać byli powinni. Ta  
 wojna nieszczęśliwa była dla kraju.  
 Francya utraciła w niej skarby, woj-  
 sko i sławę, najmnieyszey nie o-  
 trzymawszy na nie przynajcielu korzy-  
 ści. Franklin wiedział przyczynę. Kar-  
 dynał i metresy króla przedaw li w  
 zimie każdą letnią kampanią. Nieprzy-  
 iaciele wpierod znali plany wojenn ,  
 niż jenerałowie Francuzcy. A po-  
 nieważ ci musieli się wiercić stosować  
 do instr'kcyj nacestarych z Paryża,  
 mogli tamci kiedy i jako chcieli po-  
 rażać woyska Francuzkie. Osobli-  
 wie że same plany działania, zrobio-

ne były umyślnie na pożytek nieprzyjaciela, a na szkodę Francuzów.

To wszystko zdawało się Franklinowi najlepszą okazją do zemsty nad kardynałem, do uczynienia królowi bardzo ważney usługi, do otrzymania za to pożyteczney nadgrody. Franklin miał w kopii plany działania, które nieprzyjacielskim jenerałom postano. Ha! myślał Franklin, teraz najlepsza jest pora. Podaż te plany królowi, wyjawisz przed nim rzecz całą, zemścisz się nad kardynałem, a siebie szczęśliwym uczynisz.

Franklin zamówił fiakra, i niezwłocznie do Wersalu pojechał. Nigdzie nie było więcej nieprzyjacielskich szpiegów, iak w Wersalu, których sam król opłacał. Dwoch z tych Jchmościow chodziło w przedpokoin. Franklin wziął ich za szambelanow, i spytał: czyby nie można było pozyskać teraz audyencyi? Odpowiedziano mu że nie. Prosił ich zatym aby łaskawi byli oddać Jego Królewskiej Mości pakiet, który plany dzia-



łania zawierał. Szpiegowie zapewnili, iż iak tylko król zostanie sposobnym, natychmiast oddadzą mu pakiet, i Franklin odjechał bardzo kontent z Wersalu.

Jak tylko odszedł Franklin, zaraz szpiegowie posłali kuryera do swego dworu z pakietem. Ten chociaż często biegał szczęśliwie z podobnemi poselstwami, został tą razą schwytany. Znalezione przy nim instrukcye do jenerałów Francuzkich, przyprowadzono go do Wersalu. Ledwie rozeszła się wieść, o schwytaniu kuryera, zatworzony kardynał, poszedł natychmiast do szpiegów nieprzyjacielskich, i żalił się przed niemi na nicostrożność, z którą tak ważny pakiet posłano. Skarżył się na nich, że go zdradzili, i podali w nienawiść narodu. Co do ostatniego punktu, wkrótce go uspokoił szpiegowie. Powiedzieli mu iż podobny pakiet nie tylko od niego, lecz i od iego sekretarza dostali, że trzeba całą winę na ostatniego przełożyć, i o to się postarać aby szpiegi

gowie, którzy wzięli pakiet od niego, i którzy teraz zdradzonemi zostali, wywinąć się mogli bez szkody.

Rozpoczęto badanie, szpiegowie złożyli całą rzecz na Franklina, i Filozof został w Bastyllii zamknięty, nie wiedząc w początku dla czego? Gdy zaś po dwóch dniach usłyszał że go obwiniano, o wykradnienie kardynałowi planow wojennych, i o przesłanie ich nieprzyjaciółom oyczyzny. Dobry Filozof tak się mocno zadziwił, iż słowa nie mógł przemówić. Przyszedł wreszcie do siebie i uniewinnił się, ale to było na próżno. Nie wierzono mu iż chciał krolowi oddać pakiet; ale poczytano za rzecz pewną, iż to chciał uczynić, co w istocie samey się stało, to jest że zamierzył Francją zdradzić. Zaprowadzono go nazad do Bastyllii i iak zbrodniarza ściśle strzeżono.

ROZDZIAŁ XXVIII.

*Bastylla.*

**W** więzieniu w którym zamknięto Franklina, siedział także inny złoczyńca, który zdawał się nie czuć ciężaru swych kaydan. Zawsze spokojny i wesoły, usiłował cieszyć Franklina, który iak pośpolicie Filozofowie, w ten czas tylko na nędze nie czuli, kiedy zostają w szczęściu; siedział ponury i smutny.

„Czemu tak iesteś zasmucony?” mowił do niego Mowez, tak bowiem nazywał się siedzący współ więzień.

Mam tego przyczynę rzekł Franklin. Chciałem królowi usłużyć, a nad kardynałem zemstę otrzymać, tym czasem; zdradziłem krola, i wzięty do Bastyllii zostałem.

„Brydnia? I dla czegoż smucisz się teraz? Mędrzec nie powinien się tym tworzyć czego odmienić nie, zdoła. Nie iesteśmy panami

losu naszego, ten nam iest przeznaczony, i niepodobna nam go unikać. Cnotliwy równie iest narzędziem wiecznego losu, iak zbrodzien. Wypełnia równie iak ten, swe przeznaczenie i żadney nad niego mieć zasługi nie może. Gdyby los cnotliwego na miejscu złoczyńcy postawił; cnotliwy byłby złoczyńcą i przeciwnie. Każdy tę rolę gra, którą mu naznaczono; nie zależy od nas tym bydź czym chcemy, lecz czym iesteśmy; tym nam bydź koniecznie potrzeba.

Przepraszam bo tym sposobem nie mielibyśmy wolney woli.

I ty więc ieszcze w nią wierysz?

Nie tylko wierzę, lecz przekonany iestem zupełnie. Wolna wola iest nayszlachetniejszy przymiot człowieka, i nic nas więcey nie przybliża do Bostwa, iak władza czynienia podług woli.

„Masz racyą. Nic by nas więcey nie przybliżało do Bostwa, albo raczej, nicby nas innego, nie mo-



gło zrownać z Bogiem, iak tylko wolna wola. Lecz ponieważ iey nie-  
mamy, iesteśmy narzędziem Bostwa,  
ktorym on rusza podług niezmien-  
nych praw, przepisanych od siebie  
stworzeniu. Nie mam tak wiele filo-  
zofii, abym mógł z nim zapuszczać  
się w dysputę; lecz uwagi które  
czynilem, nad wszystkimi mego  
życia sprawami przekonywają mnie,  
że nie mam wolney woli."

A też same uwagi czynione nad  
własnymi sprawami przekonywają  
mnie, że wolna iest nasza wola.

„To tedy nie ustannie podług  
swoiey woli czyniłeś?"

Nie inaczey. Chciałem iechać  
do Amsterdamu, złamałem rękę i  
nogę, i przymuszony byłem, czte-  
ry tygodnie w zamku hrabiego po-  
zostać. Wyiechałem potym do Am-  
sterdamu, przybyłem do Berlina  
gdzie bydz musialem żołnierzem.  
Chciałem iechać do Lipska, stanę-  
łem w Amsterdamie. Płynąłem do  
Anglii; chciałem na brzeg wysko-  
czyć, upadłem w wodę. Chciałem

sz klanke pończu wyjąć innemu na głowę, polatem nią moje szaty. Chciałem ominąć pilających, tak mocno iednego z nich potracilem, iż padliśmy obydwu na ziemię, za co zgarbowano mi skórę. Chciałem iechać do Hiszpanii, przybyłem do Francyi. Chciałem iść do pokojowej, wszedłem do iey Pani, i dzielne kije otrzymałem od męża. Chciałem bronić niewinności panienki, i byłem przy czyną iey hanby. Chciałem królowi usłużyć, zdradziłem go. Chciałem kardynała obalić, zostałem do Bastyllii wtrącony. To wszystko nie wnoszą wolney woli.

„Bez wątpienia, rzekł uśmiechniony Mowez. „Tylko że wszystko inaczej działo się, niż chciałeś: iakaż tego mogła być przyczyna?

Wcale nie wiem, odpowiedział Franklin, ale coż ze mną czynić będą w Bastyllii?

„Nie wiele, obydwoch nas na galery odeszłą, abyśmy, tam wiosłami robili!”

Ja robić nie będę, rzekł Fran-  
klin.

To cię przymuszają, rzekł Mowez.  
Człowiek nie może być przy-  
muszonym. Człowiek ma wolną wolą  
Rozśmiał się Mowez.

## ROZDZIAŁ XXIX.

*Franklin na Galery skazany.*

**K**ardynał obawiając się, aby Fran-  
klin w inkwizycyach nie wyrzekł co  
przeciw niemu, starał się iako naj-  
spieszniej jego proces ukończyć.  
Skazano go na galery, iako zdrajcę  
oyczyzny i odesłano tegoż samego  
dnia w którym wydano dekret.

Rzecz przykra, mówił Mowez,  
kiedy Franklin z nim się rozstawał,  
że nas rozłączają od siebie; wzałem-  
na przyjaźń ulżyłaby nam przykrego  
losu. Jeżeli jednak tak przeznaczo-  
no, jeszcze raz znidziemy się z sobą.

Z Franklinem piętnastu innych  
na galery posłano. Każdy z nich prze-

klinał los, który go od wieków na galery przeznaczył.

Przyjaciele! żaden z was nie iest od wieków na galery przeznaczony, rzekł Franklin, prowadzi was na nie wolna wola.

Głupstwo! krzyknęli wszyscy, śliczna rokosz przykutym bądź całe życie do wiosła, aby iej kto z nas mógł żądać. On pewnie także idzie tam z wolney woli?

Względem mnie inaczey idą rzeczy, odpowiedział Franklin. Chciałem się królowi przysłużyć, zdradziłem go. Chciałem kardynała strącić i za to iestem na galery skazany. Co innego więc chciałem, a co innego się stało. Lecz wy idziecie tam z wolney woli, od was albowiem zależało chcieć być na galerach i nie chcieć.

„Tego głupca, należało do domu szalonych nie na galery odesłać,” mówił ieden, który w swoim sporyzzeniu coś wspaniałego wydawał.

Chcę wam to okazać, rzekł Franklin. Dla czegoż cię na galery skazano?



1. Złoczyńca. Dla nikczemnego drobiazgu. Wziąłem Matce Boskiej srebrną koronę, która była na nią przyciężka, obawiałem się aby z niej bólu głowy nie miała.

A ciebie?

2. Złoczyńca. Uczyłem się robić pieniędzy, i do tego stopnia posunąłem mą zręczność, iż z pod moiej ręki tak doskonale wychodziły biidory, iak z królewskiej mennicy. Z tym wszystkim nie kosztowały mnie tyle, ile króla zwykły kosztować.

A ciebie?

3. Złoczyńca. Tak doskonale wyuczyłem się pisać, iż każdy charakter doskonale mogłem udać, zapewniano iż nikt nie; w równał mi w tey sztuce. To wzbudziło we mnie ciekawość. Chciałem doświadczyć czy to jest prawda, i zrobiłem Wechsel na dziesięć tysięcy liwrow. Wyplacono mi wierne, i żaden by był do tych czas fałszu wechła nie poznał, gdyby właściciel, nie zaniósł na to protestacyi.

Tu Franklin zabrał mowę. Wasze czynności były zupełnie wolne.

Ty znalazłeś że kto nie chce iść na galery, nie powinien okraść kościołów. Kraść i nie kraść zależało od twoiey woli; mogłeś albowiem zostawić Matce Boskiej koronę, mogłeś ją wziąć z iej głowy.

1. Złocz. Nie prawda! Los nie powinien mnie być w takim umieszczając położeniu, które mnie przynagliło do wzięcia korony z głowy królowey Nieba,

4. Złocz. Nie miałeś tego czynić, kto psuje danom stroie głowy, ten rzadko ujdzie kary. Widoczna kara Boska, i radzę ci na potym, nie brać nigdy Matce Boskiej korony, podobna kradzierz, rzadko się kiedy ukrywa.

A ty, mówił drugiemu Franklin, równie wiedziałeś, iż fałszownikow monety, karzą powszechnie galarami. Nie zależało od twoiey woli, fałszować i nie fałszować pieniędzy?

2. Złocz. Prawda, moy mądry Panie. Gdyby bez pieniędzy można było potrzebom życia dogodzić, nigdybym ich nie fałszował; ale po-

nieważ pieniądze koniecznie są do życia potrzebne, a ja królewskich nie miałem, coż mi zostawało innego, iak mnie samemu ich robić?

I tobie mówił Franklin, obracając się ku trzeciemu. I tobie znana była kara, wyznaczona fałszującym wechśle, coż cię do tego kroku zagnało?

3. Złocz. Bo nikt mi niechciał własnego wechsłu wypłacić, a byłem od dłużników ściśniony.

Nie miałeś długów zaciągać.

Nie miał więc piornu mego domu, i moich stodoł zapalać, i mego niszczyć majątku; ale ponieważ to się stało, musiałem długi zaciągnąć, a zaciągnawszy długi musiałem wechseł zfałszować.

Franklin wstrząsnął głową i mówił: Człowiek może czynić podług swej wolnej woli.

Jeżeli jest Bogiem, przydał młody niewolnik, którego spoyżrzenie coś szczególnego miało.

Przy podobnych rozmowach, Franklin i jego towarzysze ciągnęli

podróż do Brest. Bardzo często Filozof, celem był szyderstwa ostatnich. Gdy się Franklin potchnął o kamień, (a to zdarzało mu się często ile razy biegł prędko, ponieważ mocno chramał) pytano go zawsze, czy dobrowolnie się potchnął? A gdy powiedział, że nie mógł się nie potchnąć, ponieważ kamień leżał na drodze, pytano go znowu, czy nie zależało od jego woli ominąć kamień? Jeżeli znowu powiedział, iż tego nie mógł uczynić, ponieważ mocno od nich ściśniony, nie mógł wyboczyć na stronę, przystosowano zaraz do kamienia potchnięcie, któremu życie ludzkie podpada. A Franklin milczał powszechnie, na podobne przystosowanie.

Zostawiam czytelnikowi, czyli podobne przystosowanie do siebie chce obroczyć lub nie.

## ROZDZIAŁ XXX.

*Galery.*

Jak tylko niewolnicy na brzeg gale-  
row przybyli, natychmiast ich do  
wiosła przykuto. Strętwiał Filozof  
na taki widok. „Nie,” myślał sobie,  
„nie dozwolę się okuć, człowiek  
ma wolną wolą.” Przyszła kolej na  
Franklina, który się mocno opierał.  
Kapitan rozkazał maytkom powlec  
go gwałtem, i za karę oporu, ści-  
śleń niż innych okuć. Wyśmiano  
go i w tym zdarzeniu.

Ey! mówił Franklin do swych  
szydercow, ciało mogą prawda lu-  
dzie przynaglić; lecz wolney woli  
nie mogą. Mogę tu siedzieć, coż  
to ma szkodzić? ale zapewniam,  
że robić wiosłem nie będę. Do te-  
go nikt mnie przynaglić nie zdoła,  
zależy bowiem od moiej wolney woli  
robić wiosłem, albo nie robić.

Okręt przeznaczono do Peru.  
Jak tylko wiatr pomyślny zawionął,



puszczono go zaraz na morze. Przez trzy tygodnie doświadczał piękney, i stateczney pogody. Niewolnicy mieli spoczynek, bo wiatr zastępował ich miejsce. Lecz to nie długo trwało, nagle burza podniosła się w nocy, i zajęła wżyskich pracą dla utrzymania okrętu. Franklin nawet który mocno przedsięwziął, unikać wszelkicy niewolniczey roboty zapomniał w strachu swego zamiaru, i dzielniey nad innych pracował. Burza nie długo trwała, niebo wypogodziło się znowu, morze zostało spokojnym; lecz w krótcie nowe niebezpieczeństwo nadeszło. Okręt zapędzony został ku brzegom Barbaryi, i każdego momentu, powinien się był obawiać, aby nie poszedł na łup złoczycom. Zupełna cisza która nastąpiła po burzy pomnażała niebezpieczeństwo. Niepodobna było żeglować, a iak zapewniał sternik, czternastu dni przynaymniey potrzebowano aby powrócić na swoje drogę. Nie zostawało nic innego, iak niedostatek wiatru nagrodzić pracą rąk, i iak  
 nay-

na  
 mor  
 żyć  
 wśp  
 chci  
 ma  
 bić  
 i pr  
 wca  
 mus  
 „W  
 prz  
 iego  
 aż  
 wol  
 czni  
 cił  
 bił  
 cey  
 no g  
 Nie

najspieszniej pchać się przez wały  
 morza. Niewolnicy musieli przyło-  
 żyć sił swoich, majątkowie nawet  
 wspólnie z niemi robili. Franklin  
 chciał teraz dowieść, że czł wiek  
 ma wolną wolą. Wzbraniał s e ro-  
 bić wiosłem. Kapitan rozkazał mu,  
 i przydał groźbę, że go łposcbem  
 wcale nie miłym przymusi. „Przy-  
 musisz,” mowił upornie Franklin.  
 „Wola człowieka nie może bydz  
 przymuszona.” Kapitan kazał grzbiet  
 iego dotąd linami okrętu snarować,  
 aż zechce robić wiosłem. Wolna  
 wola Franklina, wytrzymała state-  
 cznie trzy cięcia, za czwartym i chę y-  
 cił Filozof wiosło, a za piątym ro-  
 bił z innemi. To sprowadziło wię-  
 cey szyderstwa na niego. Nazywa-  
 no go dotąd, *Dobrowolnym galerow*  
*Niewolnikiem.*

## R O Z D Z I A Ł XXXI.

*Franklin wpada w ręce zboycow  
morskich.*

**C**o przewidywał sternik i kapitan okrętu, to się w rzeczy samey spełniło. Trzeciego dnia postrzegli dwa okręty, z Francuzką banderą, które ku nim płynęły. Zginęliśmy! krzyknęli wszyscy, są to Algierskie kapry. Nie było podobieństwa ucieczki. Francuzki okręt dobrze był zaludniony, lecz w burzy wiele wycierpiał, i w trzech miejscach był zdziurawiony. Kapitan złożył prędko radę żeglowną na której postanowiono bronić się do ostatniego. Aby zaś tym większy opór nieprzyjacielowi uczynić, kazano niewolników uzbroić, i onych obietnicą wolności, do męstwa i odwagi zachęcić. Broń i amunicye między ekipaż rozdano, i nagotowano się tak przyiąć nieprzyjaciela, aby ten z

XXI.

boy-cow

kapitan

ey ipeł-

gli dwa

a, któ-

glśmy!

gierskie

stwa u-

dobrze

y wiele

eyscach

złożył

rey po-

tniego.

ieprzy-

ewolni-

icą wol-

zache-

y equi-

się tak

ten z

pierwszego oporu poznał z kim czy-  
nić zamierza.

Franklin iako *Filozof* bardzo ma-  
ło miał mężstwa; upadło mu serce  
gdy się okręty zbliżyły, ale trzeba  
było walczyć. Nadto przyrzekł ka-  
pitan każdemu który się mężnie sta-  
wi, oprócz wolności znaczną jeszcze  
nadgrode, i to mu odwagi dodało.  
Chcesz pokazać się mężnym, mo-  
wił Franklin, chcesz się odważnie  
bronić nieprzyjaciółom, bo za to  
wolność i znaczną pozyskasz nadgro-  
dę. Tak chcesz rzetelnie to czynić,  
zależy od ciebie mężnym być lub  
bojaźliwym. Chcesz obrać pierwsze,  
i nieustraszony z całą odwagą, bro-  
nić twoiej wolności na przeciw zboy-  
com morskim.

W mocnym zamiarze nie ustą-  
pienia kroku nieprzyjacielowi. stanął  
Franklin na swoim miejscu. Okręty  
tak się zbliżyły, iż mogły się arma-  
tami dosięgnąć. Nieprzyjaciele da-  
li potężnie ognia, skruszyli maszt,  
i zdiurawili w trzech miejscach o-  
kręt, woda lać się zaczęła. Fran-

Hij

klin słyszał pioruny wystrzałow, odmienił kolor, zadrzał cały, i nie wiedział czyli broń w iego ręku, do strzylania, czy do rąbania iest zdatna. Lecz gdy zbliżeni nieprzyjaciele z szablą w ręku wskakiwali na okręt, omdlałby był nieuchronnie Franklin, mimo stateczney woli bronienia się, nie ustąpienia kroku nieprzyjaciolom, gdy by go nie ożywił był towarzysz mocnym kulakiem, do którego przydał wyrazy: „Niechcesz się więc potykać podła i bojaźliwa bestyo!” Chcąc bąknął półusty Franklin, pospieszył naprzod, chciał turkowi głowę rozplatać, i zabił kapitana. Jak tylko upadł kapitan, wszystko iść nieporządnie zaczęło. Wielu rzuciło oręż, i poddało się na łaskę albo nie łaskę. Mała liczba broniących się została rozsiekaną, i zboycy opanowali okręt.

Jak tylko muzulmani dzięki próżakowi złożyli, a w imię iego rzucili przeklęctwa na chrześcian, podzielił się łupem, i powrócili do Algieru.

Fr

K

soloy  
Grz  
cie  
parl  
chrz  
iedz  
kow  
mie  
w k  
bar  
grz  
kto  
pov  
my  
sie  
nie  
sie  
nił  
by  
by



## R O Z D Z I A Ł XXXII.

*Franklin przedany, dostaje do-  
brego Pana-*

**K**aper przybył do portu, przy wesolych okrzykach czekającego ludu. Grzmot armat ogłosił jego przybycie, na znak iż wielki prorok podparł go swoją łaską, na przeciw psom chrześcijańskim, którzy piłą wino i iedzą mięso wieprzowe. Niewolników zamknięto w więzieniu, gdzie mieli zostać do bliskiego poranka, w którym ułożono ich sprzedać. Jak bardzo dręczyło Franklina, bydz za-  
grzebanym w okropney dziurze, z ktorey buchało zgnile i śmierdzące powietrze. „Mogłesz się kiedy domyślić, mówił do siebie, że będziesz siedział w tak brzydkiej i sromotney niewoli, srogi i smutny losie! Chciałem siebie uczynić szczęśliwym, i uczynilem się niewolnikiem. Ach! bodgay-  
bym był nie znał kardynała, bodgay-  
bym nie miał był zamiaru wyjawić jego

niegódziwości; niechby on był sobie dziesięć Francyi sprzedał, ia miał bym był moją wolność. Dziś iestem niewolnikiem, a Francya sprzedana będzie iak dawniey. Nie zależało równie od moiey woli, zamilczeć kardynała zdrady, lub onę królowi wyiawić. Dla czegoż obrałem drugie nie pierwsze? Dla czegoż obrałem to, comnie do niewoli wtrąciło?" W tych i innych myślach zesza Franklinowi bezsenna noc. Gorąco dziękował niebu, kiedy stroż niewolnikow wszedł do więzienia, i wypędził wtzystkich na rynek.

Podzielono niewolnikow na pary i wystawiono na przedarz. Poschodzili się kupcy, i targowali Filozofa, był albowiem, piękny, młody i rosty. Nakoniec przybył młody i bogaty Turek, który mocno spoyżrzawszy w oczy Franklina, spytał się zaraz o iego cenę, i sprzedającemu, bez targu pieniądze wliczył. Kazał mu iść za sobą. Franklin szedł smutny za panem. Dręczyła go niezmiernie myśl, że czło-

wiek msiący wolną wolę, niewolnikiem być musi. Lecz widząc nieuchronną potrzebę życzył sobie tylko, aby pan jego nie był tyranem. Podchlebiał sobie, iż ieżli się dostanie w ręce dobrego pana, potrafi go przekonać o wolney woli człowieka, i dowieść mu oczywiście, że ten który powinien czynić podług swej wolney woli, nie powinien być niewolnikiem, za okazanie tak pięknych rzeczy rokował sobie wolność.

Jak tylko Franklin wszedł do pałacu swiego pana, ten natychmiast rozkazał, zaprowadzić Filozofa do łaźni, ubrać go w lepsze szaty niżeli mieli inni, i stawić zaraz przed sobą. Ismael, (tak się nazywał stroż niewolników) wykonał prędko rozkaz swiego pana. Umyto Franklina, odziano dobrą szatą, i wprowadzono do pana. Ibrahim rozkazał ażeby wszyscy odeszli, i jak tylko został bez świadków, uchylił z głowy zawoju, porwał za rękę Filozofa, i spytał czy go gdzie nie zna? Przez kilka minut patrzył nań

Franklin wątpiącym wzrokiem, który nam jest w ten czas właściwy, kiedy się między *tak* i *nie* chwiejemy. Nakoniec zawołał Franklin, albo się myślę, albo oglądam hrabiego de Witt.

Jestem nim, mówił Ibrahim, ścisłając go serdecznie,

Franklin nie posiadał się z radości.

„Dziękuję przeznaczeniu,” mówił hrabia, „że mnie w te miejsca zawiodło. Wszystko na świecie jest cudem. Musiałem cię do Algieru uprzedzić, musiałem się Deiowi spodobać, musiałem zostać Turkiem, abym cię z niewoli wykupił.”

Franklin chciał coś powiedzieć, ale hrabia nie dozwolił mu mówić. Ciekawość jego nadto była wielką, aby mógł co innego słuchać niż zdarzenie które Franklina niewolnikiem zrobiło.

„Opowiedz mi jakim sposobem los włożył na ciebie kajdany.”

Los, odpowiedział Franklin, nie miał w tym żadnej winy, stało się przez moje wolną wolę.

„Nie bądź blaznem,” rzekł hrabia, któryż człowiek idzie dobrowolnie w niewolę? Los tak przeznaczył abyś był niewolnikiem.”

Gdybym inaczej był czynił niżeli uczynilem, nie oglądał byś mnie w niewoli.

„Powiedz raczey: gdybys był inaczej mógł czynić niżeli uczyniłeś — Ale zażpokoy raczey moją ciekawość, i opowiedz jakim sposobem dostałeś się do Algieru. Franklin wypełnił rozkaz. Opowiedział hrabiemu wszystkie przypadki od owego momentu, w którym się rozłączyli. Hrabia śmiał się do rozpuku, a gdy Franklin swoją powieść zakończył, mówił do niego:

„Los bardzo iest często dziwnym: takie czasem zdarza przypadki, iakie ledwie potrafi zmysleć nawiśmielszy Poeta. Ale coż czynić! Ludzie są piłką losu i muszą czynić podług dziwnych praw iego. praw rownie niepoietych iak on sam.”

Nie wierz temu, rzekł Franklin. Nie musimy czynić podług nieod-



miennych praw losu; lecz z wolney woli możemy czynić co nam się rzeknie podoba.

„Czas jest, ażebyś szedł do Meczetu, za powrotem więcej będziemy mówili.”

Jestżeś tedy prawdziwie muzułmanem.

„Jestem, i tak koniecznie jestem, iak niegdyś byłem chrześcianinem. Kto więc czym jeszcze los mi zostać nie każe?”

Hrabia nakazał, ażeby dano ieść Franklinowi, i poczęstował go swoim naylepszym sorbetem. Przydał jeszcze aby go szanowano, i nie mieszano z resztą jego niewolników.

## R O Z D Z I A Ł XXXIII.

*Hrabia opowiada Franklinowi swoje przygady.*

**I**brahim (tak nazywany teraz hrabiego) wróciwszy z tej modlitwy, poszedł natychmiast do ogrodu, i

kazał przywieść do siebie nowego niewolnika. Gdy się Franklin pokazał, oddalili się zaraz wszyscy pracujący w ogrodzie. Ibrahim bowiem chciał z swoim przyjacielem bez wszelkiej przeszkody rozmawiać, i poduślałym obcowaniem z chrześciani-  
nem, nie dać muzułmanom podey-  
źżenia. Gdy się sami zostali, za-  
brał Ibrahim mowę.

„Zabawiłeś mnie luby Frankli-  
nie, historią twoich przypadków, i  
tym bardziej umocnił w zdaniu, o  
konieczności naszych czynów. Ja  
teraz z mojej strony zaspokoję two-  
ią ciekawość.”

Dziękuję ci za grzeczność kocha-  
ny hrabio, i na każde słowo twojej  
powieści, całą obróć uwagę. Je-  
stem pewny, iż twoje przypadki mo-  
cniej mnie przekonają o wolności  
czynów człowieka, niż ciebie prze-  
konały moje, o ich nieuchronnej ko-  
nieczności.

Kiedy poszedłeś z panienką do  
leitnanta policyi. Ja umyśliłem wró-  
cić do domu, i tam czekać twego  
powrotu, ale ponieważ przeznaczo-

no, abym cię dopiero w Algierze widział i wykupił z niewoli, przymuszony byłem utębnąć na jednym z gwardyakow, którzy iak znasz są niezmiernie chardemi. Gwardyak poczytał to za krzywdę i śmiał zeliżyć mnie takim sposobem, iakiego znieść bez zemsty nie mogłem. Wyzwałem go na pojedynkę, i poiechaliśmy do krzakow Wincenny, nie daleko wsi Saint Mande. Moy przeciwnik przewyszał mnie wzrostem i nie równie był odemnie mocniejszy. W całym Paryżu nie było nad niego szermierza. Jadąc szydził ze mnie i mówił. Jeżeli masz kochankę, napisz iey ostatnie pożegnanie. Sam poniosę twoy bilet, a jeżeli nie masz pugilaresa pozwolę ci chętnie moiego. To szyderstwo zgniewało mnie. Odpowiedziałem litosnym ramion ruszeniem, słowa jednego nie mówiąc. Stanąwszy na mieyscu wysiedliśmy z pojazdu, i wzięliśmy się do broni. Poznałem rychło, iż pospolita wieść o zrzeczności moiego przeciwnika, nie wiele chybiała

prawdy. W początku zdawał się igrać ze mną, ale postrzegłszy, że nie byłem nowy w sztuce szermiestwa, rzekł do mnie. „Polożę teraz koniec igraszce.” Użył na mnie całej swej siły i sztuki. Niewiem co mi na pomoc przybyło. Ranilem przeciwnika i obaliłem go na ziemię.

Uznasz łatwo iż po tym zaboystwie nie mogłem do Paryża powrócić, ale musiałem uchodzić. Nie wiedząc czemu obrałem drogę do Brest, gdzie okręt Maltański przeznaczony do ścigania niewiernych stał do żeglugi gotowy. Poznałem się z kapitanem, który był rodem z Niemiec i wszedłem iak woluntaryusz na okręt. Krążyliśmy długo przy Afrykańskich brzegach, nie mogąc postrzedz żadnego kapra. Poczytaliśmy już naszą pracę za próżną, gdy ieden stanął przed nami. Uderzyliśmy na niego, lecz w krótko żalowaliśmy tego zapatu. Jeszcze nie odkryliśmy naszych armat, a już zupełny wystrzał, umieścił nas w niepodobieństwie obrony. Kaper opa-

nował nas bardzo łatwo; chociaż albowiem chcieliśmy się do ostatniego tchu bronić, musieliśmy się wreszcie poddać, i rozbroiono nas wprzód niż mogliśmy się spodziewać. Kaper powrócił z łupem do Algieru, gdzie wżyskich nas zaprzędano.

Ja dostałem się Deiwowi, którego fawor bardzo prędko zyskałem. Przeznaczono mnie do prac ogrodu, gdzie raz napadła mnie jego córka, gdy podlewałem kwiaty. Nie postrzegłem iey, i ciągnąłem bez przerwy moje pracę. Fatyma patrzała na mnie chwilę z uwagą. Nakoniec głośno krzyknęła, widząc zbliżające się do niey inne kobiety. Przestraszyłem się mocno, o sobliwie gdy wzniosłem oczy, postrzegłem córkę moiego pana. Fatyma pokazała się wielce rozgniewaną. Upadłem przed nią na twarz i wymawiałem się, że nie było mi wiadomo, że piękności Algieru oświecą dnia dzisiejszego iwoią bytnością ogrod. Inaczey nie byłbym tak zuchwały, stawić się przed

ocz  
lękni  
ła się  
no ?  
nie.  
dyan  
ogro  
na ie  
tego  
zwy  
że z  
cuię  
słow  
man  
ia s  
dzis  
ale  
życ  
w  
dał  
tro  
wie  
ie  
wa  
ley  
roz



oczy, i bydź przedmiotem ich prze-  
 lęknienia i wstrętu. Fatyma spyta-  
 ła się, czyli mi tego nie obwieszczo-  
 no? Przysiągłem na moje głowę że  
 nie. Przydałem jeszcze, iż gwar-  
 dyan musiał zapomnieć, że dziś w  
 ogrodzie pracuję, i powiedziałem  
 na jego obronę, że tym łatwiej mógł  
 tego zapomnieć, gdyż dziś nie jest  
 zwyczajny dzień mojej pracy, i  
 że z wyraźnego rozkazu Deia pra-  
 cuię. Fatyma ułagodziła się memi  
 słowy, mówiła coś po Arabsku z da-  
 mami, i obróciła się do mnie. „Two-  
 ja śmiałość rzekła, darowana ci jest  
 dzisiaj dla twojej niewiadomości,  
 ale nie waż się więcej, ieżli ci mife-  
 życie, znaydować się razem z nami  
 w tych miejscach. Jutro, przy-  
 dała jeszcze bardzo cicho. Ju-  
 tro przyydz tu piękny młodzieńcze  
 wieczorem, gdy miesiąc zgasi swo-  
 ie pochodnie, mam ci powiedzieć  
 ważne rzeczy.” Damy odeszły da-  
 ley, a ja opuściłem ogrod.

Nie wiedziałem iak się miały  
 rozumieć ostatnie słowa Fatymy.

Uważałem prawdą, iż gdy mówiła ze mną, rzuciła na mnie czasami czułe i znaczące spoyrzenia, i podchlebiałem sobie, co równie nam męszczyznom, jak i kobietom jest własna, że mnie Fatyma kocha; ale nie widziałem podobieństwa wnieść do ogrodu w ten czas; kiedy on jest dla każdego z męczyzn, nawet i rzeźnicow zamknięty. Przestałem więc o tym myśleć.

Ledwie wszedłem do mego mieszkania, zaraz mnie Dey przyzwał do siebie. Zapytał mnie gniewnym tonem. Czyli nie wiedziałeś o tym: że niewolnik znajdujący się wraz z damami w ogrodzie podpada karze śmierci? Rzuciłem się na ziemię, że jest panem życia i śmierci, że może złwym niewolnikiem czynić co mu się podoba; lecz spodziewam się łaski po jego sprawiedliwości, ponieważ jestem niewinny, i nie wiedziałem wcale, że słońca piękności, i rokoszy wyniosą się nad ogrod. „Nie wiedziałeś o tym, rzekł Dey łaskawszym tonem,

nem, i kazał przyzwać dozorcę. Przybyłego zapytał Dey. Czy w którym niewolnikom ogłosił przybycie dam do ogrodu? Dozorca odpowiedział że tak jest. „I temu także?” mówił na mnie skazując. „Nie! bo on dziś w ogrodzie nie robił.” Dey kazał natychmiast w pięty gwardyana wyliczyć pięćdziesiąt batogów. Przypominam najsławniejszemu panu, że z jego najwyższego rozkazu, dziś przeznaczony byłem do roboty w ogrodzie, że Wasza Wielkość sama mi ten rozkaz wydała, że gwardyan nie mógł nic o tym wiedzieć. Rozumiałem iż przez to usprawiedliwię dozorcę, i okażę Deyowi, iż jeżeli ja wielką popełniłem zbrodnią, znaydując się wraz z damami w ogrodzie; on sam był tego przyczyną, ale nic nie pomogło. Dey rzekł wcale łaskawie. „Nic to nie znaczy.” Gwardyan otrzymał pięćdziesiąt batogów. Poznałem stąd iż wielcy panowie własne błędy, karzą na swoich sługach.

Chciałem odejść z pokoju, ale Dey kazał mi zostać. „Niewolniku! masz moją łaskę; bardziej cię iść będe kochał, jeżeli uznasz Proroka. Byłoby dla mnie nieznośnym nie oglądać cię w raju, gdzie mieszka tyle pięknych i czarnookich dziewcząt.” Podziękowałem za jego łaskę, i powiedziałem mu: że choć do jego raju nie wniknę, tedy i chrześcianie mają swój ray, do którego wniknąć się spodziewam.

„Nie wierz temu,” odpowiedział Dey. „Do raju sami tylko muzułmań wniknąć mogą.”

Do raju swego Proroka rzekłem.

„A chociażbyście i wy ray mieli, nie jest on zapewne tak dobry jak ray naszego Proroka.”

Ani temu przeczę, ani na to pozwalam. nasz iednak ray musi także być pięknym. *Kiedy go ani oko widziało ani ucho słyszało.*

„Jakichże uciech będziecie w nim używać, zapewne ani tak wielkich, ani tak żywych jak my.”

Nie przyobiecano nam prawda ośmastoletnich i czarnookich dziewcząt.

szat, których pas dwadzieścia razy przez dzień rozwiązany, zawsze nie tennięty trwać będzie. Lecz przyrzeczono nam, że całe dni i całe no-  
cy śpiewać alleluia możemy

Dey śmiał się do rozpuku:

A jednak śpiewać alleluia; nie jest to najmniejsza uciecha. Znaydzie się tam także niezmierna liczba ładnych dziewcząt, które się w klasztorach zamknęły, i swego pasu iak naytroskliwiey strzegły. Te swoim wzrokiem będą nas zachwycaty. Czyli zaś równą dla nas będą miały powolność, iak niebieskie Huryski, dla prawowiernych muzulmanow, o tym nie można wiedzieć. Napisano jest bowiem, że będą oblubienicami Boga, i nie napisano że będą oblubienicami wiernych.

„Gadasz mi czyste bayki, którzy rozumieć nie mogę. Daję ci ośm dni na rozwałę; proś o światło wielkiego Proroka. Przez te dni wolny będziesz od pracy. W nocy tylko czuwać musisz w ogrodzie aby nie zepsuto albo nie ukradziono moich



pięknych owoców. Będiesz tam miał dość czasu na prośzenie Proroka, który ci nie odmówi swej łaski. Przekonany jestem, iż jeżeli z łaską jego złączysz usiłowania twoje. Uznasz na koniec iak wielkie jest złe pić wino, i iść wieprzowe mięso.”

W moim kraju piiałem wino, iadałem mięso wieprzowe, a nic w tym złego nie postrzegłem. Mniemam przeciwnie, iż złe jest obrzezać się, i w piątek iść mięso szkopowe.

Dey pękał się od śmiechu, i na koniec powiedział: „Spodziewam się iż po upłynieniu dni ośmiu przyjmiesz prawo Proroka.”

Nic na to nie powiedziawszy, poszedłem na wieczerzę, która dziś była lepsza nad zwyczaj.

Skoro się przycmiło, dozorca rzeźniców zaprowadził mnie do ogrodu, który natychmiast zamknął. Aż dotąd nie wspomniałem na słowa które mi Fatyma szepnęła. Dopiero w ten czas przyszły mi na myśl, gdy xiężyc zniknął z nieba, i zadziwiłem się, że sam Dey pomógł mi do tajemney schadzki ze swoją córką.

Już srebro, którym okryta była okolica, zamieniło się w ponurą szarość nocy, kiedy w szpalerze rożanym, posłyszałem nie wielki szelest. Nie wątpilem, że to była Fatyma, i czekałem spokojnie aż się do mnie przybliży. Z początku udałem że śpię. Przyszła po cichu, i rzekła do mnie powoli. „Jestżeś tu piękny młodzieńcze?” Nie dałem żadney odpowiedzi. Wzięła moją rękę, ścisnęła ją, a gdy ieszcze niechciałem się obudzić, ruszyła mną powoli. Nagle powstałem na nogi, i udałem zadziwienie, że ją w tych miejscach oglądam.

Damy Tureckie, luby *Franklinie*, nie są tak delikatne jak Europeyskie. Przymus i niewola w której powszechnie żyją czyni, że niezdatne do wszystkich ozdobnych pozorów, przystępują prosto do rzeczy. Jeżeli chcą kochać uciech miłości, same pierwszy krok czynić muszą. Nie mają bowiem korzyści naszych dam Europejskich które służąc Wenerze, pokazywać się mogą osiarnicami Westy. Fatyma nie chciała drogiego czasu gubić na próżnych słowach. „Nie dziw się rzekła,

piękny młodzieńcze, że córka Deyá w nocy do ciebie przychodzi. Widziałam cię raz ukrytym oknem Seraiu, i natychmiast kochać zaczęłam. Prawo krainowe nie pozwala młodziuchom pierwszych oświadczeń miłości; same ich uprzedzać mniemy. Wiesz teraz zamiar dla którego cię umówiłam, mówiono mi zawsze że Europejczykowie, czulsi są od muzułmanów. Jeżeli to jest prawda nie odrzucisz mojej miłości, lecz ją miłością nadgrodzisz.

Aż dotąd, zasłona okrywała lica Fatymy, mówiąc ostatnie słowa odrzuciła ją, a ostatnie promienie ginącego księżyca, odkryły mi twarz powabniejszą, niż mogłem kiedy widzieć. Łatwo sobie wystawisz luby Franklinie, że wszystko wypełnić nastąpię, czego Fatyma żądała. Diana zamknęła się zupełnie w swoim pokoju, z zgorzienia czyli z zazdrości nie chcę rozsądzać. Noc czarna okryła nas i zasłoniła daleko lepiej, niżeli obłok Jowisza. . . .

Fatyma bardziej była ze mnie kontenta, niż Leda z swego Łabędzia.

Opuściła mnie w naygorętszych naci-  
skach, a gdy iey oświadczyłem, że  
przez ośm dni będę stróżem ogrodu,  
przyrzekła mnie odwiedzić następu-  
jącej nocy.

Sześć nocy używaliśmy bez przed-  
szkody roskoszy, których czyste  
panny klasztorne, we śnie tylko zwy-  
kły kosztować. Lecz w siódmej ze-  
brała się burza nad naszą głową, któ-  
raby nas nieomylnie zniszczyła była,  
gdyby los nie postanowił był inaczej.  
Dey nie mógł spać przez trzy nocy.  
Przyczynę swej bezsenności zakładał  
w niedostatku ruchu. Te chciał od-  
dalić, i gdy czwartey nocy spać nie  
mógł, wyszedł na przechadzkę do  
ogrodu. Częścią chciał się chodze-  
niem utrudzić aby tak łatwiey mógł  
zasnąć, częścią chciał nad mym na-  
wróceniem pracować. Niespodzie-  
waliśmy się iego przybycia. Dobry  
Dey zatrwożył się nie mało, kiedy  
nas zastał w takowym położeniu, ia-  
kie poważną kobietę wprawiloby w  
naymocniejsze omdlenie, gdyby w nim  
postrzeżoną od którego z mężczyzn

została. Powstał na nas w zepale gniewu, wyciągnął swoy ruginat, i chciał oboje nas przebić, gdy się Fatyma do nog jego rzuciła.

„W przod niżeli mnie, rzekła ukarzesz w twoim giewie wysłuchay kilka słow moich. Wyznaię iż poroczy mi nie godną kary w twych oczach, lecz wyznać także muszę, iż w oczach Wielkiego Proroka nigdy większey iak dzisiaj, nie uczynilem zasługi.”

Dey nadstawiał ucha na te słowa, Fatyma ciągnęła daley.

Przez trzy nocy objawił mi się we śnie nasz S. Prorok i rozkazywał iść do ogrodu, gdzie miałem zastać niewiernego, który moim staraniem nawrócony zostanie. W pierwszym dniu poczytałam ten widok za dziwaczne snu urojenie. Wiedziałam bowiem że oprócz ciebie żaden z męszczyzn w ogrodzie znajdować się w nocy nie może. Pownie i drugą razą mało go sobie ważyłam, ale trzecioraz bardziey byłam uważną, i dziś widząc toż samo zjawienie, tak mocny popęd w sobie



uczulam, iż poniewolnie wstać z łóżka, i iść do ogrodu musiałam. Niewidziana ręka prowadziła me kroki, w te mieysca, gdzie z moim największym zdumieniem tego niewolnika znalazłam. Postrzegłszy mnie natychmiast głośno zawołał: „Wielki Proroku wysłuchałeś mą prozbę! Posyłasz mi jedną z twoich powabnych Huryskow, chcąc mi dać za kosztować szczęścia twojego raju. Tak uznaję że jesteś wielkim Prorokiem, i natychmiast muzulmanem chcę zostać.” Mówiąc to zbliżył do mnie, blask niebieski otoczył nas, a co się więcej stało sam Prorok wie najlepiej, którego to wszystko jest dziełem.”

— Dobry Dey, stanął z zadziwienia jak wryty. Nakoniec przyszedł do zmysłów. „Niewolniku!” rzecze, „iście to wszystko prawda co moja córka mówi?”

Stwierdziłem wszystko.

„Chcesz tedy uznać wielkim naszego Proroka?”

Muszę odpowiedziałem.

Radość równie teraz od siebie do-  
brego Deya uniosła, iak wprzody unio-  
sło zdziwienie. Scisnął mnie, nazwał  
mnie swoim synem, obiecał mi swą cor-  
kę, i wżyskie swoje bogactwa. Wiodł  
mnie potym iak w tryumfie za sobą,  
pozwoliwszy mi wprzody, wycisnąć  
pocalowanie na twarzy swojej córki,  
która głosiła się szczęśliwą, że wielki  
Prorok wybrał ją za narzędzie nawró-  
cenia moiego.

Dey z niezmiernęj radości nie  
zmrużył więcej oka; iak tylko dzień  
się zrobił kazał przywołać Imana, któ-  
remu zlecił oświecać mnie w Alkora-  
zanie. Uczyłem się go mocno, bo go  
zrozumieć nie mogłem. W ośmiu  
dniach zostałem obrzezany, i przypu-  
szczony do praw muzulmańskiego ra-  
iu. Wyznam ci kochany Franklinie że  
śmiałem się, i dotąd śmieję, z szaleń-  
stwa muzulmanów, którzy mniemają,  
iż kto ma mały kawałek skorki więcej  
iak oni, ten wnieść do raiu nie może.  
Lecz i Europeyzykowie mają podo-  
bne głupstwa.

Uleczony od małych bólów, które mi zadał noż święty, otrzymałem do mego łóża Fatymę. Dey ozdobił mnie znaczącym urzędem, i ustąpił połowę majątku. Gorącość z którą do Meccetu uczęszczam, odprawiam modlitwę, i chowam przykazania Koranu ściągnęła ku mnie tym bardziej jego serce, zyskała mi szacunek i ufność muzułmanów. Żyję od wszystkich cenniony, od Fatymy kochany, i jestem prawdziwie szczęśliwy.

Ibrahim zakończył swoją powieść, w czasie której Franklin, a osobliwie przy końcu dosyć wyraźnie nieupodobanie swoje dał poznać. Zabrał natychmiast mowę. „Mości hrabio jesteś szczęśliwy? chciałbym prawda abys nim był; ale iak nim bydz możesz, odstąpiwszy dobrowolnie, iedyney drogi do szczęścia? Wyprzysięgłszy się wiary, bez której nie masz zbawienia?

Rozumiałbym odpowiedział Ibrahim, że wnieść mogles z moiey powieści, iż wszystko co ze mną się stało, stać się musiało koniecznie. Ma-

siałem utchnąć na gwardyaku, abym z nim pojedynkował. Musiałem go zabić, ażebym ušzedł z Paryża. Musiałem przybyć do Brest, znaleźć tam okręt i znanomego kapitana, abym na morze popłynął. Musiałem byđ schwytyany abym został Deya niewolnikiem. Ten musiał mnie posłać do ogrodu, bez wiedzy gwardyana, aby mnie Fatyma widzieć, kochać, i zenną rozmawiać mogła. Dey musiał tegoż samego dnia, dać mi rozkaz czuwania w swoim ogrodzie, i prośzenia o światło Proroka, abym mógł zniść się w nocy z Fatymą. Dey musiał nie spać trzy nocy, aby nas nadśzedł oboje. Fatyma musiała kłamać, aby zachowała moje i swoje życie; musiałem Turkiem zostać, i aby Fatyma nie była za kłamstwo skarana, abyś ty został wykupiony z niewoli. Widzisz iak wżystko od okoliczności zawisło, widzisz iak wżystko inaczej stać się niemogło, iak się rzetelnie stało.

„Zal mi cię iedrak,” rzekł Franklin. „że nie możesz pić wina, ani ieść szynki Westfalskiej.”

I któż mi tego zabroni? Mogę tu tego obojga tak smaczno iak w Europie używać, z tą tylko różnicą, że w Algierze czynić to trzeba skrycie, lecz za to mogę znowu kilka żon publicznie posiadać. Każda religia ma swe korzyści, ma swe przykrości. Co turcy czynią iawnie, to chrześcianie czynią skrycie. i na odwrot.

„Jednak nie powinienes być Turkiem zostawać. Ja Turkiem nigdy nie będę.”

Moy Boże ciebie nigdy przekonać nie można. W moich okolicznościach równie musiałem Turkiem zostać, iak wprzody byđź chrześcianinem.

Franklin rozumiał, iż człowiek niczym byđź nie musi, lecz może byđź zawsze czym chce. Poprzyśiągł iż nigdy Turkiem nie będzie.





## ROZDZIAŁ XXXIV.

*Kogo potyka Franklin.*

**F**ranklin nie mógł żądać lepszej niewoli, nad tę w której zostawał. Ibrahym żył z nim jak z przyjacielem; aby zaś przynajmniej miał pozor niewolnika, uczynił go dozorcą swiego domu. Filozof zatem nayspełniej był wolny. Wychodził gdzie mu się podobło, nie miał innej powinności, jak dozierać domowego porządku, ponieważ wszystko pod jego było rządem, lepsze iadał potrawy, i lepsze wino piał niżeli sam Ibrahym.

Pewnego czasu wyszedł na rynek, oglądać świeżo przybyłych niewolników. Między kobietami postrzegł jedną, której twarz zdawała mu być znaną. Przypatrywał się pilnie i postrzegł, że ją niegdyś w zamku starego brabiego oglądał; aby był pewnym, zbliżył się do niej, chcąc ją niby zakupić. Spytał się pięknej niewolniczkę, z którego była kraju, od

powi  
okoli  
ogro  
ten b  
Witt  
osob  
kim  
dzie  
gdy  
wie  
sieb  
dla  
wi  
ia  
ca.  
Sto  
Fr  
za  
go  
pie  
ni  
ia  
te  
hi  
w

powiedziała, że z Niemiec; z której okolicy, z \*\*\* Kto był iey oycem? ogrodnik pewnego hrabiego. Jak się ten hrabia nazywał. Nazywał się de Witt. Franklin oznaym iey swoię osobę, i przydał, że młody hrabia wielkim w Algierze jest panem. . . Dobra dziewczyna byłaby z radości omdlała, gdyby nie stała na rynku; ażeby bowiem nie zwrócić oczu ludzkich na siebie zadała sobie gwałt, i nie wpadła w omdlenie. Okazała Franklinowi swoje zdumienie, i prosiła go aby ją kupił dla hrabiego.

Franklin obrócił się zaraz do kupca, i spytał jaka jest cena dziewczyny? Sto cekinow, odpowiedział kupiec. Franklin dziewczynę odłączyć kazał zapewniając, że ją kupi dla swego pana, teraz iść musi do domu aby pieniądze przynieść. „Jak tylko pieniądze wyliczysz, zaraz zostanie twój, uczynisz panu przysługę, bo rzecznie warta swej ceny.”

Franklin pobiegł spieszo do Ibrahima, któremu w krótkich słowach obwieścił, kogo przypadkiem znalazł.

„Sni ci się” rzekł Ibrabim pełny zdumienia, „to by dź nie może ażeby moja dziewczyna, którą przypadkiem zabiłem; w Algierze się znajdowała.”

Nic nie masz nadto pewniejszego, rzekł Franklin. Poznałem ją na pierwsze oko rzucenie, a ona sama stwierdziła, że się moje oko nie myli.

„Pospiesz więc luby Franklinie, a i żłk piec nie zechce iey za sto cekinow sprzedać, day mu natychmiast dwieście.”

Franklin wziął pieniądze, i śpieszno na rynek powrócił. Tą razą, „m. ślił sobie, „stanie się to co chcesz, zamierzyłeś kupić dla hrabiego dziewczynę, i niezawodnie ją kupisz.” Przybył na rynek zadyszony, i spytał się o piękną niewolnicę.

„Już jest sprzedana Deyowi,” rzekł kupiec. „Dey wyliczył mi za nią sto pięćdziesiąt cekinow. Wiesz zaś o tym że kupiec niewolnikow nie może nic Deyowi odmówić.

Wyliczyłbym ci za nią dwieście cekinow.

» Szkol

„Szkoła! czemużeś wcześniej nie przyszedł. Inaczej by się rzecz była stała, i byłbym Deyowi powiedział że już innemu przed na. Tym czasem możesz sobie obrać inną. Ta Angielka wyrównywa zapewne Niemce, i możesz ją za podobną cenę otrzymać.”

Schoway dla siebie resztę niewolać, kiedy już tę sprzedał, którą ja chciałem kupić.

„Widzisz sam że to uczynić musiałem. Sto pięćdziesiąt cekinów, a jeszcze od Deya, kogożby nie przyhałty.”

Nie musiałeś, rzekł rozgniewany Franklin, masz wolną wolną, i możesz według niej czynić; odszedł więc w zapale gniewu do domu, i opowiedział hrabiemu, że łakomy kupiec już ją Deyowi sprzedał.

Zasmucił się na tę nowinę biedny Ibrahim. „Kochany Franklinie,” rzecze, „muszę sam z dziewczyną pomówić.”

Przygotuję do tego wszystko, odpowiedział Franklin, i poszedł zaraz

do pałacu Deya, wywiadywać się o piękney niewolnicy.

Franklin zabrał był przyjaźń z starym rzezańcem, który całą ufność Deya posiadał. Muley to było imię rzezańca, był prawda gorliwym muzułmanem, mniemał atoli że w raju nie tylko piękne dziewczęta posiadać, lecz i wino dobre pić będą; bo miłość bez wina nie może bytć długo trwać; aby więc w raju zupełne szczęście tęgim łykaniem pozyskać, chciał się na ziemi, powoli wzwyczaić do wina. Pomagał mu w tym Franklin, i przeto najmocniejszą przyjaźń, i największe zaufanie pozyskał. Do niego więc udał się Franklip, a dla pewniejszey namowy, wziął z sobą flaszę wina. Muley przyjął go bardzo grzecznie, a gdy Franklin dostał złotofarbistey swady, biedny rzezaniec nie mógł mu nic odmówić.

Mam siostrę, rzecze Franklin, którą dziś wprowadzono do Haremu twoiego pana. Chciałem ją dla mego pana zakupić, spodziewając się, że wolność od niego dostanie, ale Dey



podkupił mnie; nie możesz mi nastreczyć sposobności mowienia z nią kilka momentow.

*M.* Jeżeli sama pozwoli łatwo się to stać może.

*F.* Powiedz tylko, że iey brat który dziś z nią mówił na rynku pragnie ją jeszcze oglądać, a pewnie się nie wzbroni.

*M.* Nadeydz do mnie wieczorem, a niezawodnie będziesz mógł z nią rozmawiać, jeżeli sama pozwoli. Nie zapomniey jednak przynieść za sobą soku szczęścia.

Peten radości Franklin, pospieszył zaraz do hrabiego, któremu opisał co wskorał, a Muley poszedł do nowej niewolnicy, chcąc się uiścić w swym przyrzeczeniu. Karolina (to było imię piękney dziewczyny) poznała zaraz kto byłtym bratem, miała bowiem wiele rozsądku; i wątpić nie mogła, że Franklin mówić z nią będzie o iey kochanym hrabim, prosiła zatym mocno rzezańca, aby iey nastreczył sposobność pomowienia ze swoim bratem.

K ij

W wieczor szedł Franklin do przyjaciela, niosąc dwie flaszki wina. W iego mieszkaniu zastał dozorcę rzeźniców, strwożył się Franklin nie mało. Lecz Muley ożywił iego odwagę, zapewniając że to jest iego przyjaciel, i że w tym żadney nieprzyzwoitości nie widzi, iż brat będzie rozmawiał ze siostrą. Pili za zdrowie Proroka i iego pięknych Huryskow, a gdy się Seray uciszył, dozorca rzeźniców wprowadził Filozofa do ogrodu, gdzie zastał już swoją siostrę.

Gdy Franklin i Karolina sami się pozostali, oznaymił iey natychmiast, iak bardzo hrabiego bolało, że go Dey w kupieniu iey uprzedził. Mówił do niey o wielu innych rzeczach których czytelnikowi udzielić nie możemy, bośmy ich nie słyszeli. Rozstał się z nią, z przyrzeczeniem, że ją na za-  
iutrz odwiedzi.

Tym czasem Ibrahim wyglądał z niecierpliwością Filozofa, a gdy ten przyszedł zarzucił go tysiącem pytań, na które odpowiadać musiał z naydrobniejszemi szczegółami. U-

cieszył się niezmiernie Ibrahim, słyszając że Karolina mocno go dotąd kocha, i zapalił się żądzą mówienia kiedy z nią samą. Po wielu naradzeniach, iakby to można wykonać, postanowiono w reszcie, iż Franklin ma jeszcze raz Karolinę odwiedzić, i onę do widzenia się z hrabią przygotować. Na drugi dzień poydzie hrabia w towarzystwie Franklina, i pozostanie zewnątrz, a gdy już piłany dozorca otworzy drzwi do ogrodu, wśliźnie się hrabia na miejsce Filozofa, a reszta sama z siebie się stanie, iak wśzystko na świecie samo z siebie się dzieie. W tym zamiarze naznaczył Ibrahim aby Franklin kazał dla niego zrobić suknię, iaką powszechnie sam nosi chcąc tym sposobem lepiej oszukać dozercę. Franklin który całą noc nie spał, położył się zaraz na łożku, a Ibrahim szedł do ogrodu marzyć o przyszłym szczęściu, którego miał na łonie ładney dziewczyny kosztować.

## R O Z D Z I A Ł XXXV.

*Franklin wplątany w przykre  
okoliczności.*

**J**uż słońce rzuciło na ziemię prostopadłe promienie, kiedy Franklin otworzył oczy, a widząc jasne południe, odwiedził przyjaznego Muleya. Ponieważ zaś znał, iż u tego flaszką wina daleko jest bardziey skuteczna, niżeli głos Cycerona albo Demostenesa, wziął z sobą dobrą porcyą przekonywającego napoju. Ledwie Muley połowę, przyjął do swego żołądka, a zaraz wszystko przyjacielowi obiecał.

Aby usunąć wszelkie podeyrzenie opowiedział mu Franklin iż jego siostra, ma jeszcze udzielić mu wiele nowin. okrewnych od których dwanaście lat był oddalony, i że iak tylko od niej wszystko co potrzeba usłyszysz nie będzie mu więcey natrętnym. Muley i Franklin bawili się do wieczora, a gdy niektóre zatrudnienia

wolały z domu pierwszego, rozłączyli się z sobą w zamiarze rychłego złączenia.

Franklin opowiedział hrabiemu dobry tok swojej sprawy, i że tak mocno skłonił ku sobie rzezańca, iż wszystko co zechce otrzyma. Gdy nadszedł czas umówiony, wziął z sobą Franklin kilka butelek wina, i szedł na wyznaczone miejsce, gdzie Muley, i dozorca rzezańców czekali niecierpliwie na niego.

Kiedy obydwaj muzułmani wypróżniali butelki, dozorca utrzymywał, iż wino większym jest szczęściem nad miłość, a Muley dowodził, że oboje razem złączone stanowią najwyższe dobro człowieka; przyszła Deyowi fantazya całą noc przepędzić w ogrodzie. Wszedł zatem sam do ogrodu, i zamknął go za sobą. Przeszedłszy kilka szpalerów, chciał spocząć w mirtowej altannie, kiedy tam zastał nową swoją niewolnicę. Zadziwił się mocno, a podeyrzenie miłosney schadzki, które w jego duszy powstało, wprawiło go w nieporównaną za-



iadłość. Dobył szabli, i zdra-  
 dziecką dziewczynę chciał zaraz na  
 miejscu ukarać. Karolina zadrzała,  
 widząc rozgniewanego Deya, ale roz-  
 sądek i przytomność umysłu, rychło  
 iey sposób wyplątania się podały.  
 Wiedziała od Franklina okoliczności,  
 które przymusiły hrabiego do przy-  
 ięcia wiary Tureckiej. Użycie tego  
 samego sposobu zdawało iey się naj-  
 lepszym środkiem do zachowania sie-  
 bie. Spytana więc od Deya: co tu  
 czyni? i zagrożona śmiercią jeżeli  
 prawdy nie wyzna, upadła do nóg ie-  
 go, i kłamała następującym sposobem.  
 „Jak tylko na moje szczęście,  
 od ciebie zakupioną zostałam, wszedł  
 do mnie dezorca rzezańców, i rozka-  
 zał mi unikać dzień i noc towarzystwa,  
 i chodzić samotnie w ogrodzie. Je-  
 stem niewolnicą, powinnam mu bydz  
 posłuszną. Weszłam do ogrodu  
 drzwiami, które mi sam pokazał, i  
 od których mi klucz oddał. Ledwie  
 stanęłam w altanie, w której mnie te-  
 raz widzisz, wszedł do mnie z chře-  
 ściańskim niewolnikiem. „Patrzaj,

zdra-  
raz na  
drzafa,  
ale roz-  
rychło  
podały.  
zności,  
przy-  
ie tego  
ię naye-  
nia sie-  
co tu  
ieżeli  
óg ie-  
obem.  
ęście,  
wszedł  
rozka-  
ystwa,  
Je-  
bydź  
grodu  
zał, i  
edwie  
nie te-  
chrze-  
trzy,

mówił do niego, iak piękna jest dzie-  
wczyna, którą ci Prorok widzieć do-  
zwala. Jego Huraski nieskończenie  
ią w powabach i piękności przecho-  
dzą." Niewolnik chciał się do mnie  
przybliżyć, lecz wstrzymał go dozor-  
ca. „Jeszcze nie jesteś godny," mo-  
wił. „dotknąć się dziewczyny, któ-  
rą Wielki Prorok wybrał za narzędzie  
twojego nawrócenia. W ten czas do-  
piero kiedy w niego uwierzysz, mo-  
żesz skosztować szczęścia, które cię  
czeka w jego raju." Mówiąc te sło-  
wa odwiódł go, i ja wróciłam do iz-  
by. Dziś rozkazał mi znowu stawić  
się na powrót w tym miejscu. Usłu-  
chałam nie wiedząc co się stanie; mnie-  
małam jednak iż chrześcijański niewol-  
nik, chce przyjąć naukę Proroka, iż  
podobno żądał od niego, aby mu  
pokazał jedną z tych dziewcząt nie-  
bieskich, które swoimi powabami mu-  
sulmanów w raju szczęśliwią."

Te słowa ułagodziły gniew Dey-  
a, włożył szablę do pochew, i cieszył  
się niezmiernie, że Prorok drugi raz  
jego ogród wybiera na nawrócenie

niewiernego. „Jeżeli to jest prawda, mowił, co teraz z ust twych słyzałem, dostaniesz odemnie podarunek, którego niemogłaś się spodziewać, ale jeżeli mnie zdradzasz, drzyj zawczasu przed moim gniewem.”

„Możesz,” mówiła Karolina, tak wyniesionym głosem, iż rzezaniec i Franklin, którzy się do niej zbliżali, a którzy strętwieli postrzegłszy Deyę, mogli iey słowa dosyć wyraźnie zrozumieć. „Możesz natychmiast przekonać się o prawdzie, zapytaj dozwolę, czy chrześcijański niewolnik, nie postanowił zostać muzułmanem, czy nie z tey przyczyny wprowadził go nocą do ogrodu.” Te słowa wróciły rzezaniecowi odwagę. Umocnił Deyę w swym rozumieniu, i przydał, iż gdy raz chodził z niewolnikiem w ogrodzie, ten oświadczył mu, nagłą żądzą zostania muzułmanem, i że jeżeli Prorok pozwoli mu oglądać, iedne z swoich Huryskow, natychmiast przyymie zawoy. Myśliłem sobie ciągnąć daley rzezaniec, że kiedy twój córka była niegdy narzędziem, na-

wrò  
ca m  
zami  
du.  
iey  
mnie  
strę  
ranu  
  
mi  
go  
dov  
ny  
chr  
zw  
do  
któ  
a  
po  
w  
sh  
sz  
  
si  
ś  
st  
N

prawda,  
yszałem,  
ek, któ-  
ać, ale  
awczasu

lina, tak  
zaniec i  
zbliżali,  
y Deya;  
żnie zro-  
st prze-  
ytay do-  
ewolnik,  
manem,  
rowadził  
wa wró-  
Umocnił  
przydał  
ikiem w  
u, nagle  
i że ie-  
dać, ie-  
ychmiast  
obie cią-  
dy twoi-  
m, na-

wrócenia chrześcianina; ta niewolnica mogła nim także zostać, i w tym zamiarze, kazałem iey poyść do ogrodu. Niewolnik do tego stopnia, był iey widokiem zamamiony, iż prosił mnie dnia dzisieyszego, aby mu nastręczyć sposobność przyjęcia Alkoranu."

Dey bardziey się ieszcze słowami dozorczy ucieszył. Mniemał iż iego ogród, dostał z łaski Proroka cudowną władzę nawracania niewiernych, i postanowił na daley wszystkim chrześcianom wniścia do niego pozwolić. „Otrzymasz odemnie,” rzekł do Franklina „te piękną niewolnicę, którą dla ciebie Prorok przeznaczył, a z nią dość znaczny posag. Jutro posyłam do ciebie Imana, który cię w Alkoranie oświeci.” Mówiąc te słowa, wziął karolinę za rękę, i wyszedł z nią z ogrodu.

Dobry Franklin nie wiedział co się stało mniemał iż mu się marzy we śnie. Widział się przymuszonym zostać Turkiem, do czego nie miał chęci. Nie, pomyślił sobie, stać się to nigdy

nie może. Masz wolną wolą, i któż cię może przymusić, ażebyś tym był czym byś nie chcesz. Zaprzętniony tą myślą wrócił do domu, i opowiedział wszystko hrabiemu, który go niecierpliwie wyglądał. Z początku zadrzał hrabia, lecz usłyszawszy koniec, mówił. „Musisz więc kochany Franklinie zostać Turkiem, abyś Karolinę od mego oycy otrzymał. Lecz iak ią tylko dostaniesz musisz mi iey zaraz ustąpić, inaczey, iak Bóg na niebie, rozplątałbym ci głowę.”

Nie muszę zostać Turkiem odpowiedział Franklin, bo na cożbym miał wolną wolą gdybym musiał nim zostać.

„Powiadam ci, że musisz koniecznie byś Turkiem.”

A toż nie będę, aby cię przekonać, że nie muszę.

„Zobaczemy.” rzekł urażony Ibrahim, i wszedł do swej izby.

Nie chcę byś Turkiem i nim zapewne nie będę, myślił sobie Franklin.



## R O Z D Z I A Ł XXXVI.

*Franklin mimo woli Turkiem  
zostać.*

Jeszcze dobrze spał Franklin, gdy Iman wszedł do jego mieszkania, w towarzystwie kilku niemych dobyte szable w rękę mających. Zadrzał Franklin na widok gołych szabel. Zapytał drżącym głosem, czego chcą? Iman odpowiedział, że Dey posyła go, aby mu naukę Alkoranu wykladał.

„Lecz coż znaczą ci uzbroieni?”

Chcą naukę moją uczynić skuteczniejszą, gdyby ten który muzulmanem chce zostać, wzbraniał się uznać iey prawdy.

„Ale ja niechcę być muzulmanem.”

Musisz, bo tak przyobiecaneś Deyowi, albo moi towarzysze dowiodą ci tego potrzeby, przez sto kiliow, na twoje pięty.

Przeląkł się Franklin i umilkł. Iman rozpoczął swoje naukę. Fran-

klin z bojaźni kłóć słów nie śmiał wymówić, co Iman za znak poczytał, iż Franklin o wszystkim zupełnie jest przekonany. Skończyła się pierwsza lekcya, i Iman opuścił Filozofa, z zapewnieniem, że powolność jego bardzo mu się podoba, i że za kilka dni stanie się godnym, zostać umieszczonym, w gronie prawowiernych muzułmanów.

Gdy wyszedł Iman, mówił Franklin: „nie, nie zostanę Turkiem,” ale gdy znowu powrócił Iman, i ciągnął dalej swoją naukę, milczał cierpliwie Franklin, i słowa żadnego nie mówił. Upłynęło tak dni ośm, po których uznał go Iman zdatnym do przyjęcia zawoju. Odchodząc przydał, że intro obrzezany, i w liczbę prawowiernych policzonym zostanie.

Franklin zadrzał na wyraz obrzezania. „Nie, nie dopuścisz tego,” mówił do siebie. „Obierzesz raczej śmierć, a niżeli to szkaradne i bolesne skaleczenie.” Z tym mocnym postanowieniem odwiedził Franklin hrabiego.

*Hrabia.* Widzisz tedy nakoniec, że musisz być muzułmanem.

*Franklin.* Nie chcę, i nim żadnym prawem nie będę. Bylbym szalonym, gdybym się dobrowolnie, na tak straszne wydał boleści.

*Hr.* Musisz nim iednak zostać, bo tak przeznaczono od wieków. Muszę mieć Karolinę, abym zaś iey dostał, ty musisz koniecznie być Turkiem.

*Fr.* A gdy ja ońcieć nie będę.

*Hr.* Jeżeli nie zyskam Karoliny, utracisz moją przyjaźń, a gdy tę utracisz, będę się z tobą obchodził, iak z moim niewolnikiem; każę ci robić, mało ci dam ieść, i wiele kłiow. To wszystko czynić musiałbym koniecznie, pamiętając iż Karolinę przez ciebie szczególnie straciłem. Widzisz luby Franklinie, iak wszystko łączy się z sobą, i ty koniecznie muzułmanem być musisz.

Franklin wstrząsnął głową i myślił: Jednak ty muzułmanem nie będziesz, chociaż byś stracić miał życie.

Tem czasem upłynął dzień na-  
desła noc, a Franklin coraz bardziej  
był niespokojnym. Trętwiał, ile kroć  
wystawił sobie noż święty, a chociaż  
cieszył samego siebie uroczystą przy-  
sięgą, że Turkiem nigdy być nie  
chce, ta pociecha bardzo w nim ma-  
ło skutkowała, i coś mu zawsze mó-  
wiło że koniecznie Turkiem być  
musi,

Miedzy bojaźnią, troskliwością,  
wątpieniem, płynęły z wolna Fran-  
klinowi godziny, i dobroczynny sen,  
atak bardzo potrzebny, nie odwie-  
dził na ieden moment biednego Fi-  
lozofa. Złoty poranek powstał z róż-  
owego łoża, w całej swej wspania-  
łości, a weselem i ochotą ożywił  
wszystko stworzenie. Franklina tyl-  
ko napełnił bojaźnią i smutkiem. Por-  
wał go rodzaj febry, i drzał tak mo-  
cno, jak gdyby leżał w śniegu. Wtym  
wszedł do niego Ibrahim, i upomniął  
go aby się przygotował, bo obrzą-  
dek rychło zacząć się miał. Fran-  
klin który nie chciał hrabiemu swoiey  
bojaźni okazać, przymuszał się ile  
bydź

bydź mogło. Wstał z łóżka, w tak litośnie wesołej postaci, iż Ibrahima przymuszony był śmiać się.

*Hrabia.* (tonem żartu.) Luby Franklinie! nie długo pozdrowię cię iak brata, i wraz z tobą modlić się będę do wielkiego Proroka. Wszystko co widzę w tobie przekonywa mnie że rychło przyymiesz zawoy.

*Franklin.* Nie, żadnym prawem nie przyymę. Urodziłem się chrześcianinem, umrę nim, ktoż mnie na co innego przymusi?

Wspomnienie wolnej woli roz-weseliło cokolwiek Filozofa. Tak mocno okazał hrabiemu, iż nasze czyny od naszej woli zawisły, a ztąd tak iasnie wniesł, że nie będzie Turkiem, ponieważ nim bydź nie chce, iż biedny hrabia ledwie nie zaczął o swojej wątpić Karolinie. Nie wiedział czy go prosić, aby dla niego przynajmniej choć mimo woli przyjął zawoy, czy mu grozić utratą swojej przyjaźni. Tym czasem Iman, Dev, i kilku innych weszło do izby. Zble- dał Franklina na ich przybycie. Zy-



czył ażeby w tym momencie wszystkie noże z świata zginęły. W tym kilku z towarzystwa porwali go, i przegotowali do świętego obrządku. Franklin chciał otworzyć usta, i protestować się przeciw obrzezaniu, ale Iman szepnął mu do ucha. „Jeżeli się będziesz wzbraniał, oto sto kniów na twoje pięty są gotowe.” Te kilka słów straciły język Filozofa. Przyjął cierpliwie obrzezanie, i dopiero w ten czas gdy ceremonia wzięła koniec, zawołał: „Nie chcę być muzułmanem,” ale to tak cicho, że go nikt oprócz niego nie słyszał.

Po ukończeniu ceremonii, ścisnął go Dey z swemi towarzyszami, i wszyscy pozdrowili go, iak prawowierne go muzułmana. Dey podarował mu piękny dom. Każdy z cenniejszych Turków ofiarował coś ku czci jego. Wszyscy życzyli mu rychłego uzdrowienia, i odeszli nakoniec od niego.

## R O Z D Z I A Ł XXXVII.

*Franklin kontent że muzulmanem  
został.*

**F**ranklin przez kilka dni musiał pilnować łożka, hrabia odwiedzał go i usiłował cieszyć.

*Hrabia.* Widzisz Franklinie iak wszystko dzieje się na świecie. Nie czyniemy co chcemy, ale co czynić musimy. Gdy opowiadłem ci moją historią, rozgniewałeś się o to iż jestem muzulmanem. Przysięgłeś że nim nigdy nie będziesz, a teraz jesteś przecię. Nie chciałeś prawda nim zostać, ale coż znaczy wola, gdy czynić podług niej nie można. Mówiłem ci iż musisz koniecznie być Turkiem, i tak się stało. Ty bowiem chciały okoliczności, abyś na to nieucieranie rezwolił.

*F.* Nie rezwoliłem wcale. Bóiażń stu kilow, zagnęła mnie do przyjęcia tego wszystkiego, co chcieli ze mną uczynić.

Lij

H. Boiażn więc znagliła twoię wolą. Widzisz luby Franklinie, a terazniejszy Achmecie, że nasza wola nie jest wolną. Gdyby nią była w właściwym rozumieniu, kto by cię potrafił przymusić. Wszystko więc zależy od okoliczności, których skutki konieczne są, ponieważ od wieków przeznaczone. — Lecz mówmy raczej o Karolinie, niżli o wolney woli. Jak tylko nadeszle ci ją Dey, musisz mi iey natychmiast ustąpić; lecz za to przyrzekam ci dwie inne niewolnice, które sam wybierzesz, i nadto przyiażń stateczną.

Franklin obiecał wszystko hrabiemu, i żałł się szczególnie, iż został Turkiem nie chcąc żadnym prawem nim zostać.

Dey dotrzymał swego słowa. Jak tylko Franklin ozdrowiał, darował mu zaraz wspaniały dom, i posłał Karolinę, która się hrabiemu w tym samym dniu dostała. Obydwa rozkochani cieszyli się niezmiernie, iż po tak długiej nieobecności znowu się oglądają. Gadali sobie tysiąc rze-

czy, które zostawiam domysłowi czytelnika, nie chcąc go nudzić zimnym opowiadaniem, iak inni romansowi pisarze. Oprócz tego nie słyszeliśmy ich rozmów, a chociażbyśmy i coś słyszeli nie wypada tajemnic obiawiać; wszystko zaś jest tajemnicą, co dwaj kochankowie mówią ze sobą. To tylko odkryć czytelnikowi potrzeba, że chociaż hrabia i Karolina wiele rokoszy z wzajemnych czuli rozmów, naybardziej im się iednak podobała rozmowa, którą bez pośrednictwa słów, drganiami czucia tłomaczyli swe serca.

Tym czasem myślił Franklin. Coż ztąd za korzyść, że iesteś muzulmanem, gdy żyjesz samotnie iak kartuz? Użyj wolności którą daie ci Koran, i małą stratę nadgrodz sobie większą korzyścią. Poszedł więc Filozof na rynek chcąc sobie co wybrać do gustu. Aby zaś mu się podobny figiel, iak z Karoliną nie trafił, wziął zaraz z sobą pieniądze. Gdybyś w ten czas był tak roztropnym." pomyślił sobie, „dostałbyś niezwłocznie Karoliny,

nie bylbys w ogrodzie napadniony od Deya. nie nosbys cetańd zawoin.

W mnostwie niewolnic, jedna się osobliwie podobała Frankl nowi. Była Włoska, pięknego wzrostu, a w oczach tle młaga ognia. iż w Europie słusznie by się mógł obawiać że sam na gaszenie jego nie wystarczy, lecz w półgasicielow mieć musi. W Algierze odjął mu tę boiaźń jego Harem, i postanowił ją kupić. Młodość, albo raczey zapal, który piękna niewolnica wrzuciła w nim pierwszego zraz momentu, zrobił go n e nważnym, na powzby innych niewolnic. Wszedł w zgodę z kupcem, i wyliczył mu dwiesięcie cekinow. Porwał goraco piękną niewolnicę za rękę, i wiodł do swego domu. ale przypadek wyparł i tu biednemu Frankl nowi bardzo f petrego figla. Włzystkie niewolnice podobne były ubrane w szystkie na twar v zakryte. pomylił się, i zamiast Włoski chwał H szpankę, która z tętą równego była wzrostu. Kupiec, postrzegł prawda omyłkę; lecz mógłże o-



strzedz w tej mierze Filozofa, kiedy Hiszpanka nie wzięła dwudziestu nawet cekinów. Franklin nie poznał błędu, aż wszedł do swego Harem. Prosił piękney niewolnicy aby uchyliła zasłony, co chętnie uczyniła. Jak się przestraszył Filozof, gdy zamiast piękney i młodey Włoszki, wyżrzał twarz trzydziestoletnią, i między brzydkimi raybrzydzą? stanął strętwiały, i nie mógł pojąć iak się to wszystko stać mogło. „Chciałem,” mówił do siebie, „kupić piękną i młodą niewolnicę, a zamiast niej kupilem brzydką babę. Co to takiego, iż wszystko inaczej się dzieje, iak ja chcę.”

Rozgniewany na siebie, na los, na kupca, wrócił śpiesznie na rynek, i mówił ostrym tonem do kupca.

F. Oszukałeś mnie, kupowałem od ciebie, piękną i młodą niewolnicę, a ty dałeś mi starą i brzydką.

K. Czyliż nie miałeś oczu, kiedy przyszedłeś na rynek? Czy nie sam wybrałeś sobie niewolnicę? Czy nie sam prowadziłeś ją do domu?

Coż mnie do tégo, że poiąłeś inną nąd tę której żądałeś.

F. Day mi tę którą kupilem, a odbierz to straszydło.

K. Właśnie też byłbym głupi przymować nazad to, co odemnie kupiłeś. Oprocz tego Włoszka już jest przedana, i równie iey nazad dostać nie mogę, iak przyjąć tey od ciebie. Z tym wszystkim, ieżeli ci się ta nie podoba, mam jeszcze Paryżankę, równie piękną, równie młodą iak Włoszka, ażebyś poznał moją rzetelność, przedam ci ją za sto piędziesiąt cekinow. Na brodę wielkiego Proroka, warta dwieście cekinow.

Widział Franklin, iż z rzetelnym kupcem żartować nie można, a ponieważ pierwsza niewolnica, nie była zdatną do użycia, na które ją był kupił, pragnął oglądać Paryżankę. Kupiec uchylił iey zasłony, a Franklin na iey widok, w niemale wpadł zadumienie. „Ty to jesteś, rzekł Franklin, dla której w Paryżu tyle dostałem kilow?”

„Nie byłam temu winna,” odpowiedziała niewolnica.

„Wszystkiego zapomniałem, i jestem kontent, że cię w tym miejscu znajdnię,” rzekł Franklin. Wyliczył kupcowi pieniądze, i spieszył prędko do domu. pilnie wprzód obejrzawszy, czy Paryżankę prowadzi.

Łatwo zgadnie czytelnik, że piękna Paryżanka nie inna była, iak ładna pokojowa.

„Ale powiedz mi iak się to stało. że w Paryżu pomyliłem twą sympialną izbę.”

„Lokay zmienił przypadkiem bilety.”

„Głupi dureń,” rzekł Franklin, „lecz teraz żadna podobna nie może mieć miejsca przeszkoda; wprowadził ją do izby, prosił ażeby wytchnęła, i dał iey do posług starą niewolnicę, którą kupił za Włoszkę. Wyszedszy od niey, mówił: „Dobrze się stało iż jesteś muzulmanem. Gdybyś w Europie przypadkiem dostał baby, musiałbyś ją trzymać przez całe życie; lecz tu możesz obrać,

która ci się podoba, i z wielą roszyszy używać. I z sielszey tocy nie przeszkodzi ci bez wariacyna pułkownik, z piękna pokoiozka opisze ci swoje przypadki."

Tym czasem Hiszpanka, nie mogła znieść pogardy, którą Franklin w głędem niew okazał. Postanowiła więc do zemsty sposobu, który miał i Franklina dostatecznie ukarać, i samą napędzić najsłodsza ze wszystkich roszoszy. Filozof naysięknieyszą i bę swego Haremu, wyznaczył na mieszkanie pokoiowy. Okna wychodziły na morze, i pozwalały niezimernego widoku. Donna Krisyppa to było imię Hiszpanki, aby każdego podeyżżenia uniknąć, służyła naysdoskonalej pokoiowey; ale gdy nadszedł wieczor, nie wprowadziła iej do przernaczonego pokoju, lecz do innego, sama zaś udała się na iej mieysce.

Franklin zabawił się dlingo u Deva, który nań włożył nie iskie zatrudnienia. Powracającego zatrzymał cokolwiek hrabia, i opowiedział

mu iak był szczęśliwy ze swoją Karoliną. Już nadchodziła północ, kiedy Franklin pełen czułych niepokojności pożegnał się z hrabią, i spieszył do swego pięknej pokoiowy. Po drodze mówił do siebie. „Prawdziwie wszystko jest dziwnym na świecie. W Paryżu chciałeś kosztować roskoszy u tego dziecka pięknego, poszedłeś błędnie do iey pani, gdzie putkownik drogo ci przedstawił uciechę. Tu chciałeś krpić piękną Włoszkę, kupiłeś na iey miejsce, starą i brzydką Hiszpankę. I ten błąd stał się przyczyną, że znalazłeś na powrót twą piękną pokoiową, z którą nadgrodzisz sobie kłie wstrzymane dla niey w Paryżu. Tak daj sobie tego jeszcze pozwoleńsz. Nic nie masz w świecie, co by ci tey roskoszy brońło.” W tych myślach przybył Franklin do domu, i udał się niezwłocznie do izby pięknej pokoiowy.

Piękna przyjęła go z czułością, która Filozofa porwała prawie od siebie, odpowiedziała iego pieszczotom zapalem który największą roskosz w



w iego łonie rozniecił. I chociaż Franklin postanowił wypytać się o iey przypadki, słowa najmniejszego nie mówił do niey w tey mierze. Piękna dziewczyna czuła mu nie dała do tego. Tyle na niego obróciła czułości, iż zbytkiem najsłodszezy z uciech omdlony zasnął w iey uściśnieniach.

Już słońce czwartą część twoiey drogi przebiegło, kiedy się Franklin obudził. Otworzył oczy i wyskoczył z łóża z głośnym kłótniem. „Co tu czynisz?” zapytał się zdumiony. „Gdzie jest piękna dziewczyna, na której łonie, tyle dziś kosztowałem słodczy?”

Leż przy twoim boku, odpowiedziała Hiszpanka.

„Niepodobna,” rzekł Franklin, „ażebyś ty nią była; chciałem do moiey luby Francuzki.”

A jednak do mnie przyszedłeś. Wierzmi Achmecie, rzadko tak się dzieje, jak zamierzają śmiertelni. Z tym wszystkim wzwyż szczerze, czy nie tę samą sprawiłam ci uciechę, której chciałeś na łonie Francuzki

używ  
znay  
z twe  
inacz

szpa  
kim  
niey  
u pol  
fwoi  
fwey  
now  
Fran  
go z  
zaw  
wfy  
mus  
ścia  
a ia  
zast  
w o  
dzis  
wie  
me  
ale  
His  
noc

używać? Jeżeli zatym inaczej teraz  
znaydziesz, pochodzi to szczegulnie  
z twego wyobrażenia, które dziś iest  
inaczej usposobione, niż w nocy.

Franklin musiał przyznać że Hiszpanka ma racyą. Z tym wszystkim był iednak niespokojny, że u niej kosztował rokoszy, którey chciał u pokojowy używać. Wziął prędko swoje suknie, pośpieszył do pokoju swey piękney, gdzie znouu znalazł nowe przyczyny zdumienia. Piękna Francuzka, leżała w uściskach iednego z niewolników Franklina. „Niebo! zawołał Franklin, toż się więc wszystko przeciw moiey woli dziać musi. Ten niegodny kosztnie szczęścia, którego ja miałem kosztować, a ja — gdyby tylko niewolnik nie zastępował mego miejsca niebym wcale nie mówił. Równie się zadziwiła pokojowa, nie znanego człowieka widząc przy swoim boku. Achmet chciał go natychmiast ukarać, ale niewolnik usprawiedliwiał się, iż Hiszpanka kazała mu iego imieniem noc u Francuzki przepędzić. „Ja

tego nie chciałem" rzekł Franklin,  
 „Panie," odpowiedział na- n- k,  
 „to tedy winna His-panka." Chce-  
 ją ukarać. rzekł Franklin, na te slo-  
 słowa weszła His-panka.

I dla czego? zapytała sie. Czy  
 nie byleś tak szczęśliwym tey nocy,  
 iak tyko mogłeś żądać. Wspomnij  
 sobie na twoie wykrzyknienia, na  
 twoie przysięgi, iak bardzo iesteś  
 szczęśliwy! i w ten czas dopiero u-  
 karz mnie.

Franklin przypomniał sobie wśzy-  
 stko, — i nie karał ię.

Szczęście człowieka zależy na  
 imaginacji. rzekła His-panka, spy-  
 taj sie tey Francuzki, czyli to nie  
 iest prawda.

Piekna pokoiowa przyznała, że  
 ma racyę.



## ROZDZIAŁ XXXVIII.

*Hrabia i Franklin przymuszeni  
Algier opuścić.*

**F**ranklin, który iak wszyscy Filozofowie, iako się spókazał, w tym co się stało, a co się odąmentić nie mogło, a który ogólnie, nie było był delikatnym w młodości, puścił tą razą wściekłość w niepamięć. Onie skarzał niewolnika, i przestał na pogrozenia, iż jeżeli go raz jeszcze schwyta z tą panną, zaraz go na pal wbić każe. Ponieważ zaś bardzo był zmordowanym, przepędził rano na rozmowie z piękną pokojową, która mu wszystkie swoje opowiedziała przypadki. Franklin używał szęścia, którego mógł szczególnie, iako muzułman używać, nie mógł albowiem Hiszpanki mimo iey brzydkości zapomnieć, i używał praw, które mu zawoju dawał. Prawda że nic o tym piękna pokojowa nie wiedziała.

Franklin i Ibrahim rozmawiali często o ukontentowaniu, które czuli przy boku swoich kochanek; ale ponieważ nic nie masz trwałego na świecie, ich szczęście doznało w krótkie odmiiany, i przeznaczenie dowiodło im, że ludzie nie mogą być tak długo szczęśliwymi tak chcą, lecz iak się losowi podoba. Franklin myślał sobie pewnego czasu: możesz teraz każdy dzień twego życia, w roszoszy i wesolości przepędzać, bo od ciebie szzegulnie zawisto, czynić się zupełnie szczęśliwym, ale rychło doświadczył, że to nie zależało od niego.

Hrabia iak tylko dostał Karoliny natychmiast o Fatymie zapomniał. Ta nie mogąc się podług praw na to uskarżać, szukała zemsty w innem sposobie. Ibrahim miał niewolnika który był iego ziomkiem, a z którym się bardzo łagodnie obchodził. Był to młody i piękny mężczyzna, który u Fatymy Ibrahima mievsce zastępował. Pewnego czasu Franklin u hrabiego późno w noc się zabawił. Ponieważ prawo zabraniało im wina, które

które  
li pra  
im st  
poiu.  
i oye  
tro ic  
oświa  
dania  
nie  
zaost  
Faty  
koszt  
bą.  
hrabi  
Dług  
nie sp  
śliwa  
cia,  
i zna  
niec  
łagoc  
podp  
ginał  
ukar  
Prze  
fwoi  
płyn



które mocno obydwu lubili, 'bluźni-  
li prawie zawsze Proroka, który swo-  
im stronnikom Boskiego wzbronił na-  
poju. Tą razą upili się po prałacku,  
i oyciec Bachus, naywyższe pię-  
tro ich ciała osiadł, kiedy Franklin  
oświadczył przyjacielowi chęć oglą-  
dania Fatymy, którey nigdy ieszcze  
nie widział. Hrabia któremu wino  
zaostrzyło smak kosztowania dziś u  
Fatymy, czego nieustannie u Karoliny  
kosztował. Kazał iść Franklinowi za so-  
bą. „Chcę dziś przyjemnie,” mówił  
hrabia, „moją Fatymę napastnąć.  
Długo nie kosztowała moich uściskow,  
nie spodzieie się dzisiaj, a ia ją szczę-  
śliwą uczynię.” W tym przedsięwzię-  
ciu, weszli powoli do pokoju Fatymy,  
i znaleźli piękną Turczynkę, nie ko-  
niecznie w nudnościach. Hrabia mimo  
łagodnego temperamentu, nagłym  
podpadał gniewu zapalom, dostał pu-  
ginału, i chcąc zuchwałstwo niewolnika  
ukarać, wepchnął go w serce Fatymy.  
Przestraszony niewolnik upadł do nog  
swoiego Pana. Ten widząc krew  
płynącą Fatymy, rozżarł się bardziey

na niego, i przebił go zbroczonyim we krwi Fatymy pugnałem.

Franklin i hrabia stali długo bez ruchu, pomiędzy dwiema trupami, nakoniec przerwał milczenie hrabia. „Moy Boże przyszedłem do Fatymy, ażeby z nią się zabawić, i mimno woli zabiłem ją. Tak nigdy się prawie, wola człowieka nie iści.”

Ale co teraz czynić będziem? spytał się Franklin.

„Tak co teraz czynić będziem?” odpowiedział hrabia.

Trzeba uchodzić.

„Tak się też i mnie zdaie.”

Ażeby śmierć Fatymy, ile podobna utaić, zamknął hrabia drzwi iey pokoju, i poszedł do Karoliny, którey opowiedział cale zdarzenie. Franklin udał się także do domu, chcąc potrzebne przygotowania do wspólney ucieczki poczynić. Odkrył swoy zamiar pokoiowey. Ta ucieczyła się iż oswobodzoną będzie z niewoli, która iey inż ciężęć zaczęła.

Jak tylko rozedniało, poszedł Franklin do portu, i znalazł okręt

Histo  
miał  
pom  
z nim  
do F  
wolu  
ność  
chcę  
nych  
czyż  
kręt  
pita  
wiew  
na,  
stał

gato  
upał  
a mi  
god  
ścię  
rolie  
sieb  
bia  
bez  
pos  
tylk

Hiszpański, który następney nocy miał odpłynąć na morze. Franklin pomówił z kapitanem, i ugodził się z nim, ażeby cztery osoby zawieść do Hiszpanii raczył; są to moi niewolnicy, wypuszczam ich na wolność, ponieważ zachowali me życie; chcę im być wdzięczny i obsypanych darami odesłać do swoiey oyczyzny. Jeżeli ich przyymiesz na okręt dostaniesz tysiąc pistolow. Kapitan obiecał wszystko iak naytroskliwiey wykonać, prosił tylko Franklina, aby podróżnych zawczasu posłał na okręt.

Franklin uwiadomił hrabiego, o gotowym Hiszpańskim okręcie. Ten upakował wszystkie swe kosztowności, a między nadzieią i boiaźnią oczekiwał godziny w której miał Algier opuścić. Skoro się przyciemniło, Karolina i piękna pokojowa, wzięty na siebie męzkie szaty. Franklin i hrabia ubrali się podobnie, i szli nie bez trwogi do portu. Szczęście im posłużyło; nikt ich nie postrzegł, a iak tylko przybyli wprowadził ich do o-

Mij

krętu kapitana, podniesiono kotwice, i w plyniono na morze. Wiatr sprzyjał ich podróży, i gdy słońce wyięło złote lica z nocney zastłony, tak daleko już byli od Algieru, iż chociażby się ich ucieczka odkryła, nie mogli bydz doścignionemi

Chociaż hrabia trzy miesiące Karolinę posiadał, nie słyszał jednak iey historyi. Czas nadto był kosztowny przy iey boku, aby go gubić na nie potrzebnych wieściach. Lecz teraz gdy na okręcie, nie miano nic do czynienia; gdy obecność, Franklina i piękney pokoiowy więcey mu zostawiała czasu do słuchania przypadkow Karoliny, ożywiła się iego ciekawość, i prosił iey aby mu opisała iak żyte będąc od niego zabita. Franklin i pokoiowa złączyli swoje proźby i Karolina chociaż w początku trudna, została wreszcie przynaglona opisać swoje przypadki, które lubemu hrabiemu nie naylepiey się podobały.

PR

G

pozn  
lina:  
łość,  
żadne  
ani p  
ci o  
serca  
rown  
owyr  
wied  
padn  
ste p  
który  
czył.  
dania  
sze  
raz w  
znała  
szczy  
bne  
chce

## ROZDZIAŁ XXXIX.

*Historya Karoliny.*

Gdy cię pierwszy raz luby hrabio poznałam, (tak zaczęła mówić Karolina: ) opanowała moje serce miłość, i czułam ku tobie to, czego ku żadnemu z mężczyzn, ani pierwej, ani potym nie czułam. Nie trzeba ci opisywać, iak rosła w naszych sercach miłość wzajemna, znasz to równie dobrze iak ja. Lecz gdy w owym najszczęśliwszym mego życia wieczorze, zostałam od ciebie napadnioną w altanie; gdy twe ogniste pocałowania, zwyciężyły wstyd, który zbyt słabo przeciw miłości walczył, i czekał tylko sposobności poddania się z honorem; gdy najwyższe dobro naszej bytności, pierwszy raz w życiu, w twoich uściskach poznałam; przysięgałam iż żaden z mężczyzn, oprócz ciebie, nic podobnego nie uysła odemnie, że ci chcę być wierną na wieki. Słaba



przysięga dziewczyny, z której się los natrzęsa, a za karę iej pychy do krzywoprzysięstwa ją zmusza.

Mieszkał u mego oycy bardzo daleki krewny. Ten rozkochał się we mnie, mimo mey wiadomości, a gdy mnie postrzegł wcale obojętną ku sobie, wniósł ztąd iż co innego musiało się w moje serce zaszcześcić, zaczął mnie pilniey i ważyć, zaczął szpiegować me kroki. Nasze schadzki w altanie, nie długo były przed nim ukryte. Czatował gdy tam raz weszłam, i widział cię rychło przychodzącego. Ciekawość i zazdrość pobudziły go do wybadania co tak późno-czynić z sobą będziemy; tam zobaczył to — co kochankowie, cichemu tylko i milczącemu pozwalają widzieć xiężycowi. W początku chciał nas swoją obecnością zatrwożyć, lecz w krótcie zmienił wolę, i przedsięwziął z swego odkrycia istotniejsze wyprowadzić pożytki.

W nieszczęsny wieczor w którym mnie śmiertelnie ranileś, czekałam cię iak zwyczaj w altanie. Nie

prz  
niez  
zwy  
ma  
leś  
dw  
chw  
mò  
sile  
kar  
my  
od  
nie  
re  
sta  
sło  
m  
do

pi  
si  
kt  
bi

P  
g  
z

przychodziłeś, i to mnie dręczyło niezmiernie, znałam iż w wieczor zwykleś chodzić do lasku, w mniemaniu że tam przypadkowo zasnąłeś, postanowiłam cię szukać. Ledwie uszłam sto kroków, a coś mnie chwyciło za rękę, mniemając że ty mówiłam: „Mości hrabio, przymusiłeś mnie dzisiaj do długiego czekania. Dobrze się jednak stało, żeśmy się przecie znaleźli.” Obcy głos odpowiedział mi. „Piękna Karolino, nie hrabia jest ten szczęśliwy, którego masz przed sobą.” Latwo wystawisz sobie iak mnie przeraziły te słowa. Usiłowałam wydrzeć się, ale mocno trzymana, nie mogłam tego dokonać.

„Próżno się wzbranasz moja piękna dziewczyno, musisz mi dzisiaj tę samą grzeczność uczynić, którą czynisz każdej nocy dla hrabiego.

Wpadłam w gniew na te słowa! Poznałam iż to jest kréwny moiego oycy. Czyniłam mu zarzuty, groziłam oczu wydarciem, lecz on mi

zimno odpowiedział: „Jeżeli nie-  
chcesz, zaraz cię do oycy zaprowa-  
dzę, opowiem mu gdzie cię napa-  
dłem, co widziałem w altanie, i toż  
samo jeszcze staremu hrabiemu do-  
niosę.” Przestraszyła mnie jego  
groźba. Wiedział złoczyńca, iż tym  
sposobem wszystko na mnie wymoże.  
Wziął mnie więc w swoje uściski,  
bronilał się prawda, lecz w szamo-  
taniu, utchnięta o korzeń drzewa wy-  
wróciłam się na ziemię. Nie wiem  
iak się to stało, że przeciw mojej  
woli dokonał na mnie swojego zamiaru.  
Już mnie chciał z ziemi podrosić,  
gdy ty nadszedłeś, i zadałeś mi śmier-  
telną ranę. Krew płynąca i mój  
wrzask przymusiły go do nagłego  
powstania, a iak ja słyszałam potem  
o kilka kroków został od ciebie zra-  
nionym. Omdlałam, a przys edłszy  
do siebie, postrzegłam się na moim  
łożku, przy którym stary hrabia, i  
mój oyciec, rozplawali się we łzach.  
Szukano mnie po lesie, do którego  
otwarte drzwi stały, i znaleziono we  
krwi, bez najmniejszego znaku życia.  
Twój oyciec przeklinał cię, i dowie-

działa  
twa.

ny p  
town  
że na  
mocy  
zami  
nale  
słow  
sty,  
gdy  
rozł  
pok  
łask  
stał  
odd  
rze  
ści  
ies  
wd

oy  
św  
iak  
By  
śli

działałam się przyczyny tego przekleś-  
stwa.

Złoczyńca który umierając z ra-  
ny powiedział, że chciałeś mnie gwał-  
townie do twoich zamiarów nabić,  
że na mój wrzask przytył mi ku po-  
mocy, iż ty widząc spełnić twoje  
zamysły, mnie i iemu piersi pugi-  
nałem przebiłeś. Uznałam w tych  
słowach naysposobniejszą chęć zem-  
sty, rozumiał on bowiem że ni-  
gdy nie wrócisz, i że na wieki  
rozłączeni zostaniemy. Twój ojciec  
pokazał się ku mnie nayszczególniey  
łaskawym. Jak tylko uzdrowioną zo-  
stałam, zawiośł mnie do miasta, i  
oddał w służbę swoiey wauzki. Przy-  
rzekł mi szczególną o mnie szcze-  
ście troskliwość, i przydał że iego  
jest powinnością, nadgrodzić krzy-  
wdę, którą mi syn iego uczynił.

Dama do którey mnie oddał twój  
ojciec, była nayprzyjemniejszą w  
świecie. Obchodziła się ze mną nie  
jak ze sługą, ale jak z przyjaciółką.  
Byłabym u niey nayzupełniey szcze-  
śliwą, gdyby twoja niebytność, nie

uczyniła mnie była, na każdą rokosz  
 me czuła. Każda uciecha, znalazła  
 zamknięte wrota do mego serca. My-  
 śliłam szczerze o tobie. Wystą-  
 wiałam sobie iż cała twoja nędza,  
 skutkiem jest mey niewierności. Mnie-  
 małam iż niebo zagniewane jest na  
 mnie dla mego krzywoprzysięstwa,  
 i dla złagodzenia jego gniewu, przy-  
 sięgłam znowu, iż żaden z mę-  
 szczyzn, nigdy mnie więcej nie  
 dotknie. Lecz niebo sztydziło z mo-  
 iej przysięgi.

W liczbie Jchmościow, którzy  
 moję Panią odwiedzali znajdował  
 się hrabia de K\*\*\* młody i pię-  
 kny kawaler, pełen światła, dowci-  
 pu, i nayprzyjemniejszy w obco-  
 waniu. Dla wżystkich nadzwyczaj-  
 nie grzeczny, naygrzeczniejszy  
 był dla mnie. Ile razy wchodził,  
 albo wychodził, zawsze ścisnął mo-  
 ją rękę. w każdey okazyi mówił mi  
 coś podchlebnego, musiałam mu  
 więc sprzyjać. Pewnego czasu, za-  
 stał mnie samą w domu, moja Pani  
 bawiła na wsi, mnie mała słabość przy-  
 musiała w mieście pozostać. Wszedł



szy do izby, siadł przy mnie. Nie  
 wiem skąd to pochodziło, ale czułam,  
 iż hrabia mogłoby mnie drugi raz  
 wprowadzić do złamania moiey przy-  
 sięgi. Ażeby temu przeszkodzić, po-  
 stanowilam byđź szczegulniey ostro-  
 żną, a dla odjęcia mu wszelkiey o-  
 kazyi, udałam tetryczną i nie ocho-  
 czą. Mowil wiele, na co ja żadney  
 nie dałam odpowiedzi. Spytał się  
 na czym mi zbywa? był tak ochoczy,  
 grzeczny, wesół, tyle używał spo-  
 sobow, aby mnie rozochocić, iż nie-  
 mogłam dłużey byđź smutną. Cało-  
 wał moją rękę, chciałam się otę gniew-  
 wać, ale nie mogłam; całował moję  
 twarz, i równie z tey przyczyny  
 gniewać się nie mogłam na niego.  
 Nacierał więcey i uczułam to samo,  
 co czułam na twoy widok w altanie;  
 musiałam się poddać, i drugi raz  
 złamać przysięgę. Uważałam pra-  
 wdą iż daleko mocniey powinnam się  
 była opierać; lecz czułam także, iż  
 coś mi odjęło wszelką oporu siłę, i  
 znagliło mnie do ustąpienia. Gnie-  
 wałam się na siebie, a jednak moja

przysięga została by była nie zawodnie-  
trzeci raz jeszcze złamaną, gdyby hra-  
bia tego był żądał; lecz nie uczynił ża-  
dnego kroku, i odszedł powiedzia-  
wszy mi tysiąc grzeczności.

Na nieszczęście, mieliśmy w  
domu starą guwernantkę która hra-  
biego wchodzącego do mnie widzia-  
ła, i z chrześcijańskiej ciekawości,  
szpiegowała nas. Czterdzieści ośm lat  
mająca, nie mogła widzieć ładnego  
chłopca, bawiącego się z młodą dziew-  
czyną, bez wpadnięcia w świętą  
żarliwość. Co tylko odważył się hra-  
bia, weszła do mnie, z miną wie-  
kłości, i czyniła mi na przykrzejsze  
zarzuty. Stałam zalana wstydem,  
nie śmiałam podnieść winnego wzro-  
ku. i mimo wszelkiego usiłowania  
nie mogłam leż utrzymać. W bud-  
ziło mnie do płaczu, nie tak uznanie  
win, iak sposób ostry z którym da-  
ma czyniła mi zarzuty; wewnętrzny  
głos zapewniał mnie, że nie zasłuży-  
łam, na tak wielką surowość.

Co tylko wróciła ze wsi hrabina,  
zaraz dowiedziała się o moim złym

postę-  
naz wal  
można  
poboż  
żadne  
chocia  
się ie  
mnie  
nawt  
szcie  
mu,  
wym  
dwo  
gdzie  
go o  
bv w  
porz  
nawe  
czyż  
by si  
mac  
czyn  
pisz  
szey  
oyci  
i ia  
wiz

postępku, tym bowiem imieniem, nazwała błąd mój guwernantka, a można się łatwo domyslić, że ta pobożna matrona nie zmniejszyła żadney okoliczności. Moja pani chociaż łagodną była, rozgniewała się jednak nie pospolicie. Kazała mnie przywołać, i złaawszy mnie naysztarszymi wyrazami, uwolniła wreszcie od służby. Wypchnięta z domu, z łajana ostatnimi wyrazami, wyśmiana od współsłużących, ledwo nie wpadłam w rozpacz. I gdzież się miałam obrócić? do mego oycy? lecz czylisz ten niechciałby wiedzieć przyczyny dla której porzuciłam dom hrabiny, a gdybym go nawet zmyślonym uspokojeniem, czyż w krótkim czasie nie dowiedziałby się prawdy? Czyli hrabina tłomaczyc się wuiowi, że oddaliła dziewczynek którą sam iey polecił nie opiszem mu wżystkiego, co do naysztarszey okoliczności? Cożby na to mój oyciec, co stary hrabia powiedział? i iak by się ze mną obeszli? To wżystko skazało mi potrzebę, po-

rzucenia na wieki domu oycy. Pędzona tą wewnętrzną niepokojno-  
 ścią, szłam nie wiedzieć gdzie i po-  
 co. Zbliżyłam się ku kościołowi, do któ-  
 rego powłzecham nie chodzić zwykłam  
 była. W drodze napotkała mnie da-  
 ma jedna z moich znaiomych. Sta-  
 nęła i spytała się czego mi nie dosta-  
 ie? Opowiedziałam wszystko z otwar-  
 tością, która iey się podobać zdała.  
 „Miły Boże,” rzekła wzniosłszy ku  
 niebu oczy. „Ty wiesz najlepiej,  
 iż w podobnym przypadku, młoda  
 dziewczyna, nie dobrowolnie czyni;  
 lecz przymuszona bywa, od nie opar-  
 tey siły. Okrutna! karać ją za to dzie-  
 ło, którego ustrzedz się nie mogła.  
 Dobrze dziecie, przydała, jeżeli  
 chcesz iść do mnie, nie będziesz za-  
 łować, żeś mnie spotkała na drodze.  
 W kilku dniach iadę do Francji, i  
 potrzebuję pańy.” Najgrzeczniej  
 podziękowałam hrabiny i przysięgałam  
 że iey nie dam żadney przyczyny do  
 wypuszczenia mnie z służby. „Uczy-  
 niłam ślub uroczysty,” ciągnęłam  
 dalej z zapamiętaniem, „iż żaden z me-

szczyzn więcej mnie siłą nie znajdzie." W rzeczy samej co tylko hrabia wyszedł z mego pokoju powtórzyłam trzeci raz przysięgę, i do trzymywania ją przedsięwzięłam jako najmocniej. Dama rozśmiała się „Dobre dziecko, rzekła, nie powinnaś była tego czynić, panienka nie powinna tego ślubować, czego wykonanie, nie od ciebie woli zależy. Wreszcie bądź tylko pilną w twych powinnościach, a chociaż byś trzeci raz złamała twoje przysięgę, żadney odemnie nie doświadczysz przykrości. Umieję przebaczać słabościom." Kazała mi iść za sobą, i w kilku dniach odiechaliśmy do Francji.

W podróży nic nie zdarzyło się szczególnego. Stanąwszy jednak w Paryżu uznałam zaraz w trzecim dniu iak słusznie moja pani mówiła, iż panienka moiego wieku nic nie powinna ślubować. W mieszkany od nas domu, stał także Francuzki pułkownik, który z prowincyi przybył do Paryża, dla odwiedzenia krewnych. Tego samego dnia w któ-



rym przybyliśmy w wieczor zabrał znajomość z moją panią, a ponieważ znał iey małżonka, który w Francuzkiej służbie zostawał, nie wyszedł prawie nigdy z iey pokoju, musiał iey bowiem wiele o iey mężu powiadać. W pewnym poranku, gdy ieść miał u nas śniadanie, nagle zasnęła moja pani, i położyła się na łóżku, kazała mi postać lokaja z przeproszeniem że mu służyć nie może. Lokaja nie było na przedce, pokoy pułkownika trzecim był od nas, możesz iść sama, myślałam sobie, lecz on iest młody nie ożeniony kawaler, coś mi szepnęło do ucha. Naradziłam się sama sobą, a przed powzięciem determinacyi, byłam już w iego pokoju. Postrzegłszy to zadrżałam; wziął mnie z pieśczołą za rękę, i spytał co mu dobrego przynoszę. Cofnęłam się w tył, i chciałam wynieść, ale uczułam iż zatrzymanie mnie, nie wiele go kosztowało. Chciał mnie na sofę wprowadzić, wzbraniałam się postrzegłszy iego zamiast. Chciałam być wierną przysiędze mojej i tobie. Prosiłam, sro-  
ży-

żyłam się, ale zapewne to wszystko w takim czyniłam sposobie, iż on tego nie poczytał za prawdę. Coraz mocniej nacierał, chciałam bronić się prawdziwie, lecz strętwiały mi palce, które skrzywiłam dla zdrapania mu twarzy, nagłe i słodkie ściśnienie opanowało moje członki, i — chociaż niechciałam — stało się iednak wszystko.

Wychodząc z iego pokoju, gniewałam się na siebie. „Także to jest nie podobna,” mówiłam, „dochować moiey przysięgi i bydź wierną kochanemu hrabiemu? Jestże koniecznie krzywoprzysięstwo względem mnie, i względem niego? Od tey godziny, unikam troskliwie każdej okazyi, która by mnie w niebezpieczeństwo wprowadzała; stronię od męszczyn, gdzie ich tylko napadnę.” To przedsięwzięcie uspokoiło mnie znowu, a uspokoiło tym mocniej, że zdawałam się bydź w stanie zachowania go zupełnie.

W krótcie opuściliśmy Paryż. Pokrewny moiey pani, który przebywał

w Kadyx, pisał do niej aby go odwiedziła, ponieważ ciężko choruje. Bardzo był bogaty, a ona dóbr iego dziedziczką. Mąż pozwolił na iey podróż, i przyrzekł nawet, że rychło za nią poiedzie, ponieważ nie podobu mu się więcey służba Francuzka. Poiechaliśmy do Marsylii, gdzie moiey pani ważne interesy przypadało ulatwić. Ztąd żeglowlaliśmy do Kadyx. Porucznik okrętu, miał zawsze coś do czynienia w naszey kańcie. Nie mogłam go cierpieć; on iednak nayczęściey ze mną obcował. Wierna moiemu przedsięwzięciu, stroniłam od niego ile mogłam; lecz przeznaczenie chciało, ażebym znówu moią przysięgę złamała.

Wiatr który nam dotąd sprzyiał, obrócił się nagle w inną stronę. Podniosła się burza, i czarne chmury niebo okryły. Maytkowie mówili, iż tey nocy wiele musimy uciepieć; wpadliśmy wszyscy w boiaźń i trwogę, osobliwie ja, która w okręcie pierwszy raz dopiero płynęłam. Pod wieczor pokazały się znaki pogody.

Wiatr nie tak straszliwie chuczał, nasza trwoga zginęła, i uspokoiliśmy się wszyscy, ponieważ zdawało się, że byliśmy bezpieczni; położyła się pani na łożku. i ja też postanowiłam uczynić, skończywszy wprzód małą robotę. W tym nagle postrzegamy, że okręt nasz rusza się gwałtownie, i słyszymy mocny krzyk matkow. Moja pani kazała mi zobaczyć co się dzieje. Wstałam, lecz o mało nie padłam natychmiast; okręt bowiem tak mocno się ruszał, iż ledwie trzymałam się na nogach. Wyszłam albo raczey wytoczyłam się z kajuty, i zobaczyłam iż wszystko w okręcie w strasliwym jest zamieszaniu. Zapytałam przebiegającego matka, co się to dzieje? Czy WPanna nie słyszysz odpowiedział, cierpiemy srogą burzę. Wrzeczy samey słyszałam dziwne chuczenie wałów, straszne świstania wiatrow, błyskawica wypadła za błyskawicą, a grzmot straszliwy przebiegał czarne chmury. Drżąc z bojaźni i trwogi wracałam do kajuty, chcąc opowiedzieć mojej pani, że

N i j

w krótcie morze stanie się naszym grobem, kiedy mnie napadł porucznik. Wziął mnie za rękę, i spytawszy się gdzie idę? prowadził do sioły kajuty. Strach burzy tak mnie mocno ogłuszył, iż nie byłam sobie przytomną. Nie mogłam się opierać i nie myślałam nawet o tym, słowem nie chcąc złamałam czwarty raz przysięgę. Przyszłam do siebie w pół godziny i ostremi wyrazy wyrzucałam porucznikowi jego postępek, ale on był na to spokojny. Sztychował z mojej skrupulatności, i mówił: iż burza ani dla tego przestała, ani się pomnożyła, że przeznaczenie wykonać się na nas musiało, i jeżeli miał zatonać nasz okręt, stałoby się to również, choćbyśmy z sobą psalmy pokutne śpiewali, iak gdy zamiast tego bawiliśmy się czule, ponieważ człowiek nie może losu swojego uniknąć. Zdawał się nowy atak do mojej słabości przypuszczać; lecz uszłam i wróciłam do pani, która w łóżku w pół umierała leżała.



Każdego momentu wyglądaliśmy śmierci, w tym okręt przestał się ruszać, i burza cokolwiek zwolniła; otwierałam okno, usłyszałam morze zaczynające się uspokajać, i wiatry mniey szeleszczące. Nakoniec uci-  
szyło się wszystko, radość ożywiła znowu wszystkie twarze, które mało co wprzody trwoga farbą śmierci powlokła była. Ten stan wesoły nie trwał długo, burza zagnała nas na Afrykańskie brzegi, i ledwie uniknąwszy niebezpieczeństwa śmierci, wpadliśmy zaraz w nowe. Dwa okręty przypa-  
dły do nas z rozwiniętymi żaglami; ucierpiawszy wiele od burzy, nie byliśmy w stanie bronienia się. W przypadku więc gdyby to byli zbojcy morscy jak pospolicie mniemano, nie zostawało nam więcej jak poddać się na ich łaskę. Ziściła się nasza bo-  
iaźń; dwa kapry rzuciły się na nas, zatchnęliśmy białą banderę, i poszliśmy wszyscy w niewolę. Nigdy jak w ten czas nie czułam mocniej nieszczę-  
ścia; śmierć w falach morskich zdawała mi się miłą w porównaniu z niewolą.

a wystawiwszy sobie co nasza płeć od barbarzyńców zwykła doświadczać. przysięgałam raczey przebić się nożem, niżeli któremu z tych potwor-  
 najmniejszą powolność okazać. Z tey przyczyny włożyłam noż w moje kieszeń, zamysłając go użyć w po-  
 trzebie.

Co tylko zbóycy podzielił się łupem, zaprowadzono mnie do kapitana. Był to męszczyna piękny mający lat czterdzieści, któremu broda wiele przydawała ozdoby. Mówił do mnie po Francu/ku. Nie smuć się piękna dziewczyno; twoja płeć niczego u nas nie powinna się obawiać; więcey ją szanujemy niżeli twoi ziomkowie, i nasz szacunek daleko czynnier oświadczamy niż oni. Mówiąc te słowa wziął mnie za rękę, i pro-  
 wadził na sofę. Wzbraniałam się; on uśmiechniony mówił. Nie bądź dzieckiem, i nie gniewaj mnie. Muzulmani nie są tak głupi, jak twoi ziomkowie, którzy na kolanach żebrzą u kobiet faworow, które im iednak tyle uciechy co i męszczynom

przynoszą. Ta mowa rozgniewała mnie — a jednak nie mogłam bytć tyle co chciałam, niechętną; użył cokolwiek siły a — ja zapomniałam o nożu.

Nayukochańszy hrabio piąty raz w ten czas przysięgę przeciw moiej woli zламаłam. Zawstydziłam się mocno, i tak silnie na los rozgniewała, iż umyśliłam w tey mierze nic więcej nie przysięgać, aby przez powtórzone krzywoprzysięstwa nie wzbudzić Boga do gniewu. Przybyliśmy wreszcie do Algieru, gdzie szczęściem postrzegł mnie Franklin, a oddawszy mnie w twoie uściski, spełniły się moje życzenia. Nie wiem jaki los spotkał moją panią, nie widziałam iey bowiem od momentu, w którym schwytano okręt.

Tak Karolina skończyła swoją historią. Hrabia żałował, iż iego luba Karolina, tyle razy musiała się przeniewierzyć, a Franklin utrzymywał, że to stało się z iey woli. Mówił bowiem: nie zależałoż od niey chodzić i nie chodzić do lasku? Nie

210

mogłaż wynieść z pokoju kiedy hrabia  
wchodził do niego? Nie byłeś w iey  
mocy dawać znać pułkownikowi?  
Nie mogłaś odepchnąć porucznika,  
gdy ią ten do kałuty wprowadzał?  
Nie zależałoż od iey woli wepchnąć  
noż w swoje serce? Karolina utrzy-  
mywała, iż to wszystko nie zale-  
żało od iey woli, iż w tych wszyst-  
kich momentach coś czuła w swoich  
żyłach, co ią przymuszało do czy-  
nienia inaczej, niż wprzody posta-  
nowiła. Hrabia poczytał Franklina  
za głupca, ponieważ nie mógł pojąć,  
że się to wszystko przeciw iey woli  
stało, gdy sama powiedziała, że posta-  
nowiła przysięgą nie być niewier-  
ną, a jednak nią być musiała. Fran-  
klin nie przystał na to, i w pięknym  
traktacie, tak uczenie okazał wolność  
woli człowieka, iż ani hrabia, ani Ka-  
rolina, ani on nic z tego zrozumieć  
nie mogli. Przydał nakoniec, iż oczy-  
wista, że człowiek ma wolną wolą,  
ponieważ czynić może co chce. Dla  
utwierdzenia tego: zależy od moiej  
woli mówił, stać albo usiąść na krze-

szle. Hrabia wstrząsnął głową: mógł stać, mówił Franklin, ale chcę usiąść na stołku, to mówiąc chciał się podług swej woli posadzić, ale uchybił krzesła, i tak mocno upadł na ziemię, iż wielki guz naznaczył jego czoło. Hrabia i Karolina śmiali się do rozpuku, z przecudnego dowodu Filozofa o wolnej woli, a Franklin wyszedłszy z odurzenia, w które go wprowadził niespodziewany przypadek, powstał i związał sobie głowę.

## ROZDZIAŁ XL.

*Nieszczęśliwy przypadek całego  
towarzystwa rozłącza.*

**F**ranklin nosił jeszcze na głowie dowód swej wolnej woli, kiedy okręt przybył do Kadyx. Ponieważ znaleźli gotowy okręt nie zabawili tu jak kilka godzin w tym mieście, i ciągnęli dalszą podróż do Hiszpanii, gdzie szczęśliwie w Madrycie stanęli.



Ledwie tam bawili dni kilka, a już nie podobało się Filozofowi wszystko co widział i słyszał. Prosił hrabiego usilnie ażeby raczył podróż do Niemiec przyspieszyć, mocno bowiem pragnął spoczynku, a hrabia iemu i pięknoey pokoiowey, przyrzekł dożywotne utrzymywanie. Penieważ także hrabiemu nie podobał się Madryt, opuszczenie Hiszpanii było dla niego obojętne, a raczey podobno przyjemne. Gdy więc raz po obiedzie mocno Franklin nan nacierał, rzekł hrabia do niego. „Zostawiam twoiey woli wyznaczyć dzień odjazdu. Przygotuy wszystko do drogi, a ja natychmiast odieżdżam.” Jeżeli ci się podoba mówił Franklin, odiedziem jutro rano. Dobrze odpowiedział hrabia. Wyszedł natychmiast Franklin, zamówił dobry powóz i tak wszystko narządził, aby na zaintrz ze wschodem słońca można było wyiechać z Madrytu.

Wróciwszy do domu, ułożył iako nayspieszniey rzeczy, a gdy już wszystko do podróży było gotowó,

wyszedł na przechadzkę wraz z hrabią. Chodząc mówił Franklin o swojej ulubionej matersi.

*Franklin.* Tyle razy przeczyłaś mi iż człowiek nie może czynić podług swej wolnej woli. Rozumiem iż intrzeysza podróż oczywiście dowiedzie cię że wola nasza nie ograniczenie iest wolna. Proszę bowiem mości hrabio powiedzieć mi czy nie iest w naszej mocy bawić w Madrycie, albo Madryt opuścić? Chcemy w nim zostać dłużej? Coż nam do tego przeszkadza? Jeżeli zaś z Madrytu iutro pewnie odiedziem nie iestże to znakiem, że mamy wolą iechania, i że podług tey woli czynić zupełnie możemy?

*Hrabia.* Niewiem luby Franklinie, iakim prawem po tylu rozważaniach przypadkach, możesz ieszcze wierzyć w wolną wolą. Intrzeysza podróż możesz bydź dowodem wolności naszej woli? Jeżeli iutro odiedziem, któż wie czy tego nie uczyniem koniecznie. Powiesz podobno iż możemy się dłużej ieszcze pozo-

stać. Ja jednak utrzymuję, iż jeżeli rzetelnie odiedziem, podróż nasza tak dalece od okoliczności jest przeznaczoną, iż iej nie podobna odłożyć, a jeżeli nie odiedziem, równie pozostać w Madrycie musimy. To bowiem co ty wolnym i nie przymuszonym przeznaczeniem nazwasz, jest w rzeczy samej koniecznym, i nieuchronnym przeznaczeniem.

Franklin nie chciał na to wszystko przyzwolić. Utrzymywał iż gdyby człowiek koniecznie i przymuszenie czynił, nie byłby zdatnym czynić różnicy między rzeczami, a ponieważ może rozróżnić, ma tym samym władzę wyboru, a ta władza nakłania iego wolą. Hrabia odpowiedział, że taż władza rozróżniania prowadzi z sobą konieczność. Wyboru tey a nie inney rzeczy. Ze rozmaitość wyboru zależy szczególnie od okoliczności, w których się człowiek znajduje. Ze te okoliczności zupełnie od nas nie zawisłe, przeznaczone są od wieków, i wzajemnie z sobą

połączone, inaczej bowiem zginąłby świata początek, iże nakoniec człowiek stosownie do okoliczności, w których go nie widzialna moc stawia, wybiera koniecznie, i równie koniecznie czyni. Oprocz tego znajduje się wiele czynności, które w naszym umyśle, mają postać ślepego losu, a których żadnym prawem wolnemi nazwać nie można. Taki był na przykład, twój w kaucie upadek; nie miałeś woli upaść, ale uśiąść; żeś tedy upadł, stało się to szczególnie przypadkiem i t. d. Ale Franklin nie chciał przypuścić, żeby się co przypadkiem dziać miało; lecz wszystko co człowiek czyni, czyni to z wolnej woli. Gdybym bowiem obeyrzał się był na krzesło, zapewne bym był nie upadł, ale ponieważ nie chciałem obeyrzyć się tedy upadłem.

Kłócili się obydwaj, w zapale walki prędko czas upływał, i późno w wieczor powrócili do domu.

W tej samej gospodzie, w której hrabia i Franklin mieszkali, stał

także Niemiecki kupiec, który miał młodą i piękną żonkę, a którego izba stykała się z izbą Franklina. Ten ledwie zasnął, zaraz go coś obudziło i przymusiło wyjść z izby. Wziąwszy na siebie szlafrok, szedł zaspą po ciemnych schodach. Wracając nazad, pomknął drzwi swej izby, i wszedł do izby kupca, który się spożnił u przyjaciela. Franklin rozumiał iż jest w swoim mieszkaniu zrzucił z siebie szlafrok, i znalazłszy po długim macaniu łóżko, położył się na nim. Piękna, okrągła, i miękka ręka ścisnęła go. Ucieszyło to niezmiernie Filozofa. Wtym wielki Inkwizytor wchodzi do izby z latarnią, przy słabym jej świetle, poznała młoda pani Filozofa, wyrzuciła go z łóżka, i krzyknęła o pomoc. Wielki Inkwizytor pomógł jej krzyknąć. Gospodarz i inni zbiegali się. Wszystko zadrzało widząc wielkiego Inkwizytora. Ten rozkazał aby Franklina jako cudzołożnika przytrzymać. Doniesiono mi (mówił Inkwizytor surowo do gospodarza) Doniesiono



mi, iż w twoim domu dzieją się zgor-  
szenia i obrzydłości; przyszedłem  
na to miejsce, abym się o nich prze-  
konał. Rozkazuję wam, prowadzić  
mnie zaraz do mieszkań innych  
gości, abym oglądał co się tam  
dzieje. Drżący gospodarz wiodł  
go do izby Franklina, gdzie z nie-  
małym wżyszkich zdumieniem, a na-  
wet i dobrego Filozofa, znaleziono  
hrabiego przy piękney pokoiowy, w  
postaci poświęconey Cyprydie.  
Przeszli potym do izby hrabiego i —  
co za widok, za tali kupca u Karoliny  
na offerze miłości. Hrabia z tey  
samey przyczyny co Franklin przy-  
muszony był powstać z łóżka, a bę-  
dąc równie iak on zaspany, pomylił  
sobie izbę, i wszedł do izby Frankli-  
na. Kupiec któremu wielość malagi  
zmniejszyła władzę rozsądku, widział  
izbę hrabiego otwartą, poczytał onę  
za własną, wszedł i położył się na  
łóżku. Wielki Inkwizytor, chciał  
młodą żonę kupca odwiedzić, a z  
nawiększym nieukontentowaniem  
znalazł innego na swoim miejscu.

Będąc zaś przez łoskot wydany, i myślił swoje przyyscie upstrzyć pozorным pretextem, i dla tego udał że dla wybadania się przyszedł.

Winowaycy uniewinniali się nie-wiadomością, i przysięgali na wszystkich świętych, że każdy z nich chciał wnieść do swoiey izby, i położyć się na własnym łóżku; ale surowy Inkwizytor nie dawał temu wiary, kazał gospodarzowi przywołać kilku Alguazilow i wszystkich kazał do więzienia prowadzić.

## R O Z D Z I A Ł X L I.

*Franklin wychodzi z więzienia i jego dalsze przypadki.*

**Z**ona kupca chociaż pokazała się na Franklina rozgniewaną, że odważył się przypadkiem wnieść do iey łóżka, miała jednak rzetelną skłonność ku niemu. Niektóre pobożne matrony mówiły, że wiedzą tego przyczynę; my

my iey nie wiemy, i zostawiamy, skromnym damom zgadanie, dla czego ona mogła mieć w tym przypadku rzetelną skłonność ku niemu. Tym czasem jest rzecz nie zawodna, że los Franklina, w mi. spokojność ią wprowadził. A ponieważ nad wielkim inkwizytorem miała zupełną władzę, tak natrętnie prosiła swiętego męża o uwolnienie Franklina, iż nakoniec musiał iey przyrzec. Uwolnić go od kary przechodziło moc iego, mógł mu jednak na-tręczyć, wygodną sposobność ucieczki; zdecyd to stróż więźniów. Stróż więźniów dał do zrozumienia Filozofowi, że gdy mu włoży co w rękę, może sobie wyszć bezpiecznie. Franklina który innemiał, iż nigdy wolności nie można drogo okupić, przyrzekł mu znaczną nadgodę. Stróż otworzył mu w nocy więzienie, przed którym czekał służący który Filozofa do kupcowey zaprowadził. W drodze powiedziano mu, iż oney szczegulnie wolność swoją winien, i ztąd za przybyciem swóim oświadczył iey

nayżywszą wdzięczność. Powiadano iż ta dama tak dalece była z niego dziękczynienia kontenta, iż dała mu pełny worek pieniędzy na drogę, i wzięła na siebie zapłatę którą obiecał stróżowi. Upomniata go aby iak nayspieszniey Madryt opuścił, nayściśley bowiem wyszukiwać go miano.

Aczkolwiek Franklin usilnie żądał mieć iaką wiadomość o hrabim, o Karolinie, i iadney pokoiowey, troskliwość iednak o własne bezpieczeństwo, przymusiło go odiechać bez naymnieyszego badania. Przebył szczęśliwie Pireneie; zwrócił się ku Lotaryngii, chcąc przez Alzacyą do własney powrócić oyczyzny. Już Franklin stał na Niemieckiey ziemi, gdy zmordowany podróżą, przymuszony został odpocząć w małej wiosce. Auterya mieściła tylko trzy izby, dwie naylepsze już były zajęte, musiał więc przestać na gorszey. Izbę stojącą w podłe izby Franklina, najął bogaty kupiec, który do Páryża iechał i z znaczną gotowizną, wiele wioził z sobą wexlow. Zmordowany Fran-

Franklin położył się na łożu, i wkrótce zasnął smaczno. W godzinę po północy przebudził go straszliwy wrzask, który wzywał pomocy przeciw złodzieiowi i zboycy. Franklin porwał się z łożka, a słysząc głos swego sąsiada, chciał mu na pomoc przybyć. Pośpiech, z którym Franklin szedł na ratunek kupca, zrobił wielki łoskot, dwa razy bowiem utchnął niż mógł znaleźć drzwi kupca. Wszedłszy postrzegł kogoś utykającego na sobie; rozumiał że to złodziey, który zamierza uciekać i schwycił go za gardło; a gdy ten broił się, tak mocno ścisnął go Franklin, iż tamten na ostatek utracił całą siłę. Tym czasem austernik wchodzi ze swoją czeladzią, wszyscy uzbrojeni w mocne kiie, a widząc iż Filozof tak mocno trzyma przeciwnika swego za gardło. tak go mocno w głowę uderzył, iż Franklin ogłuszony upadł natychmiast na ziemię. Obudzony postrzegł się leżącym na ziemi z związanemi rękami i nogami. Stojący otaczał na niego najszczypłwsze

Oij



szyderstwa. Kupiec zarzucił mu że go okradł, i po zawołaniu iego na pomoc, okrutnie chciał zadusić. Franklin przysięgał iż iego głosem wzbudzony śpieszył mu na ratunek, i wziął go za złodzieia, który zamyślał uciec. Smiano się z iego głupiej wymówki, a gdy się dzień zrobił, wrzuciono go na wóz, chcąc go zawieść do sądu. Franklin narzekał na swój los, ale to nic nie pomogło, musiał koniecznie iechać. Czterech przysiężnych towarzyszyło mu; ci ile razy usta otworzył, zawarli mu je tęgim policzkiem.

Droga szła przez wielki las. W połowie drogi napadło na nich dwanaście konnych ludzi. Przysiężni ratowali się ucieczką, i zostawili Franklina który związany leżał na wozie. Przewodzca zboycow (byli to bowiem zboycy) przybliżył się do wozu, a przypatrzwszy się kilka minut Filozofowi, kazał go towarzyszom rozwiązać. Jak tylko uwolnił Franklina, rzekł do niego przewodzca.

„Jeżeli się nie mylę widziałem  
cię kiedyś w Bastylli.”

Tak siedziałem w niej, ale równie niewinny, jak i teraz.

„Nie obwinionoż cię o występ-  
pek przeciw krajowi i nie skazanoż  
na galery?”

Prawda.

„Nie wspomniaż że sobie two-  
iego współtowarzysza?”

Niebo! Ty to jesteś.

„Tak w rzeczy samej ja jestem.  
Widzisz jak to prawdzi się, co ci  
mówilem w Bastylli: Ze człowiek  
nie może swojego losu uniknąć, że  
to dzieie się koniecznie co mu jest  
przeznaczone, ale też nadto nic wię-  
cey. Powinienem cię był poznać  
w Bastylli, powinienem był zostać  
przewodzącą rozbojników, abym cię  
od więzow, i chaniebney śmierci u-  
wolnił.”

Franklin nie wierzył, ażeby to  
stać się koniecznie było powinno;  
wesół był jednak że się tak stało.  
Mowez spytał się przyjaciela, czy  
nie potrzebował pieniędzy?

Tak jestem czysto wyprzątniony, iż nie mam szeląga w kieszeni, szanowny urząd wieyski zabrał mi wszystko co miałem.

„Tak czynią wszystkie urzędy. Tem nayprzód karzą złodziei, że same ich okradają. Z tym wszystkim tyle zebrałem, wydzierając bogaczom co mieli nadto, iż jestem w stanie opatrzyć cię pieniędzmi na drogę. Aby to jednak między moimi nie sprawiło szemrania, musisz udawać, iż żądasz w nasze wnieść towarzystwo. W ten czas bowiem równe pozyskasz do naszych bogactw prawo. Wspólnie więc znami popelnij jedno łotrństwo, a zyskasz zaufanie towarzystwa, jeżeli zaś daley nie jesteś przeznaczony na łotra potrafiś się od nas z wielką łatwością odłączyć.”

Lecz Przebóg! ja nigdy łotrem byź niechcę.

„Więc nie mogę cię ani jednym szelągim opatrzyć, nasze bowiem dobra są wspólne.”

Franklin nie mówiąc, ruszył  
 szczerze głową, co Mowez za mi-  
 czące wziął przyzwolenie. „Kamraci,  
 rzekł dostaliśmy dzielnego rekrutę;  
 znam go, pewnie nam honor uczyni.”  
 Uściskano nowego towarzysza, i po-  
 wrócono do groty, by zasilić się do-  
 brym obiadem. Franklin postępował  
 z trwogą i drzeniem, a wszedłszy w  
 podziemne zbójców mieszkanie, za-  
 dziwił się nad porządkiem, czystością i  
 bogactwami zbójców. Przyniesiono  
 pieczenie i wina. Jedli i pili opowiada-  
 iąc sobie z rozrywki anekdoty, które  
 Filozofowi bogatą materją do rozma-  
 ych uwag dać mogły. Szkoda że Fran-  
 klin iedney z nich tylko przyjacielom  
 swoim udzielił, i że nie może wię-  
 cej czytelnikowi przesłać. „Wszed-  
 łem raz do lasu,” mówił ieden z  
 towarzystwa siedzący naybliżej Fran-  
 klina, zamyślony nad pewną rzeczą,  
 i napadłem człowieka pogrążonego  
 w rozpacz i smutku, miałem z  
 początku, iż poznawszy moje rze-  
 miosło, stworzył się moim spotka-  
 niem. Postanowiłem żatym pomnoż

żyć jego bojaźń, i nic mu więcej nie czynić. W tym bowiem dniu, nie byłem zdalny do żadnego szel-miestwa, tak nasze czyny nazy-wają uczciwi ludzie, którzy ie-dnak niekiedy większemu są od nas łotrami. Nastałem szypko na niego, ale nie uchodził, tylko z spuszczone-mu oczyma ciągnął dalej swą dro-gę. Spytałem go na czym mu zby-wa? Dla czego jest tak smutny? Czy się podobno rozbojnikowi nie boi i t. d. O nie, odpowiedział z westchnie-niem; rozbojnicy leśni nie są tak złośliwemi, jak ci co zasiadają w iz-bach sądowych, a biednych ludzi o-dzierają z własności i prawa. Uda-wałem jakoby słów jego nie rozu-miał, i ciągnąłem dalej moje pytania: Odpowiedział mi w zaufaniu, że z bo-gatym sąsiadem prawił się więcej roku, wczoraj otrzymał wyrok prze-ciwny chociaż prawo i słuszość po swoiey miał stronie. Naznaczono mu, wypłacić przeciwnikowi wydatek któ-re więcej dwieście zł. tych wynosił, a to niezwłocznie i pod karą więzie-



nia. Nie miałem pieniędzy, mówił, i byłem przymuszony, pożyczyć ich z lichwą, po dwadzieścia pić od sta, teraz idę oddać je przeciwnikowi. Zapytałem go: ile cała jego szkoda wynosi? „Jeżeli wszystko chcę liczyć wynosi tysiąc talarów.” Jest to drobnosc, odpowiedziałem, którą ci chce nadgrodzić. Po trzech dniach wróć na to miejsce, a będziesz miał. pieniądze teraz bowiem nie mam tak wiele przy sobie. Towarzyszyłem mu do miasteczka, chcąc się dowiedzieć o mieszkaniu bogatego sąsiada. Nawintryz szedłem pilnie gdzieś łakomiec zagrzebie swoje pieniądze. W nocy wylupałem jego skrzynię, i wypróżniłem. Łup mój wynosił trzy tysiące talarów. Połowę dałem nędznemu klientowi, który powiedział mi, że sąsiadowi trzy tysiące talarów wykradziło. Radziłem mu ostrożnym być z temi pieniędzmi, i raczy, mogłbyś wpasć w podejrzenie, z którego nie łatwo potrafiłbyś się oczyścić. Nie podejmę się bowiem usprawiedliwienia twojego bo,

nie lubię się chlępić z dobra które czynię. Podziękował mi z naywiększą grzecznością, i odszedłem ukontentowany od niego. Dowiedziałem się potym, iż zaczął mały handel, który tak mu się udał, iż jest teraz naybogatszym w miasteczku."

Osobliwsze rozporządzenie losu! rzekł Mowez.

Franklin coraz był bardziey ochoczy, a winem ożywiony, zabrał z łotrami poufałość. Gdy się łotrowie naiedli i napili, postanowili w nocy nderżyć na dom bogatego kawalera, gdzie Franklin pierwszy miał dowod swoiey zręczności okazać. Zadrzał na to dobry Filozof. Lecz Mowez wziął go na stronę, i radził mu aby w dzisieyszey czynności pokazał się nieustraszonym, inaczey bowiem nieuchybnie by zginął. Jeżeli zaś dobrze się postawisz, pozyskasz zaufanie towarzystwa, i bardzo łatwo nyść możesz. Franklin nie widział innego sposobu, i uczynił co czynić musiał koniecznie. Naypierwszy wszedł do zamku, naypierwszy drzwia

wyłamali, i ukradł więcey niżeli wszyscy inni. Do tego stopnia uczyniła go totrem boiaźn, nie wpadnienia u towarzyszw w podeyżrzenie! Zrobiono łup bardzo znaczny, a Franklin od wżystkich kamratów zyskał naywiększe pochwały. Z tym wżystkim nie podobał mu się ten sposob życia, i prosił nsilnie Moweza, aby mu iako nayprędzey nastreczył sposobność ucieczki. Ten mówił towarzystwu iż umiślił z Franklinem iechać na wywiad do odległego o trzy mile miasta. Wżyscy życzyli mu szczęśliwey drogi, a Franklin opatrzoney od Moweza pieniędzmi, opuścił zboiecką grotę z niezmierną radością. O ćwierć mili od miasta, rozłączyli się oba, i Mowez wymienił mu austeryę w którey się znówu zniść, i na zawsze pożegnać mieli.

Gdy Franklin przybył do miasta opowiadano mu za naywiększą nowość, iż uchwycono przewodzcę sławney rozbójnikow bardy. Filozof mocno żałował Moweza, i umiślił

dotąd pozostać, aż o losie jego usłyszy. Ponieważ obawiano się, ażeby Mowcz nie uszedł z rąk z więzienia, skńczono prętko jego proces i osądzono go na łamanie kości żywo, i na wpłeczenie w koło. Franklin nie chciał czekać exekucyi, i odiechał tegoż samego dnia w którym miano wyrok dekretu wykonać. Pospieszył w swą podróż, pragnąc iak najprędzey opuścić prowincyą w którey po niewolnie dni kilka był współczłonkiem hordy rozboyników.

## ROZDZIAŁ XLII.

*W którym los niewierzone zdarza przypadki.*

**P**o trzy tygodniowey podróży w której nic ważnego nie podkalo Filozofa, zdarzyło się, iż złamany przypadkiem wóz przymusił go zwrócić do austeryi na kilka godzin prędzey niż pospolicie zwykł był

czynić. Wszedł do gościnney izby, zamówił dobry obiad, a dla skrócenia czasu stał w oknie, i przebieżających uważał. W pół godziny zalechał przed ansteryą pojazd, z którego cztery osoby wysiadły między którymi była dama. Fränklin wystawił głowę, chcąc nowych gości przywitać. Wytrząszył gwałtownie oczy, kiedy twarz damy zobaczył. Jeszcze nie wierzył swemu wzrokowi, rozumiał, iż proch i słońce przyćmiły go, i cały kwadrans przecierał sobie oczy. „Tyż to jesteś,” mówił zbliżony do damy, która na niego z równym zadziwieniem patrzyła. „Piękna Karolino! co za przypadek w tym mieyscu nas łączy? Jakim tu przybyłaś sposobem? Gdzie jest twój luby hrabia.

Na ostatnie pytanie rzekła mu Karolina (ona to bowiem była) „nie umiem ci odpowiedzieć. Od nie-szczęśliwej bowiem nocy nie wydziałam go więcej.”

Jakimże cudem uszłaś z pazurów Inkwizycji?



„Wielki Inkwizytor był moim przyjacielem,” mówiąc te słowa zarumieniła się.

Franklin i Karolina siedli do stołu, chcąc sobie wzajemnie opowiadać swoje przypadki, kiedy nagle otworzyły się drzwi, i hrabia wszedł do gospody. Strętwieli wszyscy trzej kiedy wspoyrzeli na siebie. „Zkąd idziesz? Co za przypadek w te miejsca cię przyprowadził? Jakim sposobem mogłeś tu przybyć?” Oto pytania które wszyscy trzej czynili sobie razem, gdy ich cokolwiek opuściło zdumienie. Hrabia uściskał Karolinę, i okazał najwyższą radość, której mu udzieliło niespodziewane szczęście, znalezienia w ten czas Karolinę, kiedy ją na wieki utraconą bydz rozumiał. Równie cieszyła się Karolina, że wcale nie odczuwanie hrabięgo swojego ogląda. Jeszcze trwały wzajemne nściśnienia, gdy nowi podróżni weszli do izby; a ledwie Franklin obrócił na nich oczy, gdy peten zadziwienia zawołał: *Co za niestychany przypadek!* To

Wykrzyknienie obudziło hrabiego i Karolinę ze snu, w którym ich po-  
grążyło, zniście się nadzwyczajne.  
Spożyźrzeni do drzwi, a nowe zadu-  
mienie opanowało ich dusze. „Ty  
że to jesteś luba dziewczyno,” rzekł  
Franklin, gdy spieszo do niej przy-  
biegł, objął ją w swoje ręce, i  
do swego łona przycisnął. „Jak  
nie spokojną byłam od momen-  
tu rozłączenia naszego! Utraciłam  
nadzieje oglądania cię więcej, a te-  
raz co za szczęście! oglądam cię na  
nowo,” odpowiedziała dama. — Ła-  
two zgadnie czytelnik, iż czwarta  
osoba którą przypadek do gospody  
wprowadził, nie inna była, iak  
piękna pokoiowa. Przyszło do no-  
wych uścisków, i pokoiowa równie  
była zdumioną widząc hrabiego i Ka-  
rolinę. iak hrabia i Karolina zdziwili  
się na iey przybycie. Wszyscy zdu-  
miewali się nad przypadkiem, który  
ich równie niespodziewanie tu złą-  
czył, iak był w Hiszpanii rozdzielił.

Wszyscy usiedli, i każdy cieka-  
wy był wiedzieć, co się drugiemu

zdarzyło. Franklin zaczął im opowiadać swoje przypadki, które czytelnicy już znają. Po nim nastąpił hrabia, i oznajmił iż przez wstawienie się posta swego monarchy, odebrał walność i cały swój majątek. Uwolniony, gdy usiłował daremnie, dowiedzieć się o losie każdego, postanowił nakoniec udać się do o, czyzny, mniemał bowiem iż zrobione od niego zaboystwo wyszło z pamięci wszystkich. W podróży nic nie potkało go szczególnego. Wczorayszego tylko wieczora, gdy wyszedł na przechadzkę do bliskich krzaków, odjechał go pojazd, który miał go do ovczystego zawieść majątku, a który wprzody był zapłacony od niego. Nie wiem wcale, przydał, czy to z umysłu, czy z pomylenia drogi uczynił. To tylko pewna że późno do austeryi przybywszy, nie zastałem innego wozu nad ten, w którym dziś przyjechałem; przymuszony byłem niać go, choć przez to podróż moja, dwudziestu milami pomnożoną bydz miała, ci bowiem którzy go wprzod zapłacili, iechali o  
tyle

tyle mił z moiej drogi. Kląłem  
niezmiernie przypadek, lecz teraz  
jawnie widzę, iż to wszystko cudo-  
wnie przeznaczone było. Gdybym  
mojego wozu nie stracił, nie znalazł-  
bym was w tym miejscu był. Nakoniec  
Karolina zaczęła opowiadać, iak do  
niej wszedł Inkwizytor, iak iey pod-  
chlebiał, iak naostatek przyrzekł iey  
wolność; jeżeli mu tego miejsca  
ustąpi, które przeciw iey woli ku-  
pieć szczęśliwie otrzymał. Kocha-  
ły hrabio nie chciałam na to przystać;  
ale to nie znane coś, które mnie  
zawsze skłaniało do łamania przysię-  
gi, sprawiło i teraz, że wielki Inkw-  
izytor otrzymał to, co tobie tylko sa-  
memu dobrowolnie pozwalałam. In-  
kwizytor dotrzymał słowa; zostałam  
wolną; i otrzymałam nad to od nie-  
go dosyć znaczną nadgodę, która  
umieściła mnie w stanie przedsię-  
wzięcia do oyczyzny podróży. Nic  
mi się nie przytrafiło ważnego; o-  
prócz że w drodze dwa razy przy-  
muszoną zostałam, do złamania ci  
wiary. Przed trzema dniami prze-  
p

iechaliśmy już przez to miejsce, gdy jeden z towarzyszw naszej podróży postrzegł, że nie ma pugilaresu, w którym schowane były wexle, a nade wszystko papiery których nieuchronnie potrzebował. Przypomniat sobie że go dał do schowania gospodarzowi, u którego nocowaliśmy przed trzema dniami. Ponieważ wiele zależało mu na odzyskaniu pugilaresu; prosił nas o powrótce się nazad, i przyiął na siebie cały wydatek. Podróż nasza nie była nagłą, przystaliśmy więc na iego prozbę. Temu przypadkowi winnam więc że cię tu znowu znajduię. — Teraz przysła kolej na pokoiową. Mówiła iż wielki Inkwizytor ten sam iey podał co Karolinie projekt; lecz odrzuciła go, a gdy usiłował otrzymać to gwałtem, czego mu z dobrej woli wzbraniała, chciała mu wydrzeć oczy, i i byłaby to nieomylnie zrobiła, gdyby był nie odszedł pelen zadumienia i trwogi. Korzystała z tey okazyi, i wyszła za nim potajemnie z więzienia. Szczęściem napadła pana, któ-



ry iechał do Niemiec; ten przyjął ją za towarzyszkę podróży. W drodze wystawioną była na wiele pokus. Ponieważ iednak chciała bycż wierną lubemu Franklinowi; oparła się wżyszkim statecznie. W \* \* \* chciała wniść w służbę, lecz pani mieysca tego dostała przed trzema dniami pokoioy. Z tey przyczyny umyśliła znowu powrócić do Francyi, kiedy dziś niespodziewanie znalazła hrabiego, Karolinę i kochanego Franklina. — Z tych wżyskich powieści, historycy pokoioy, nayniepodobnieyszą była do prawdy. Co podobno ztąd pochodziło, iż nie tak rzetelnie iak Karolina opowiadała swoje przypadki. Można iey to łatwo darować, bo też i Franklin zamilczał, iakim sposobem piękney kupcowey za uwolnienie odwdzięczył.

Rozmawiano o różnych rzeczach aż gośpodarz postawił zupe na stole. Franklin zabrał się do częstowania. W tym wchodzi ktoś do izby. Franklin puszcza ztrworzony tyżkę, i woła w boiażni: *Dusza, Dusza*. Hrabia,  
Pij

Karolina i pokojowa spojrzeli do drzwi, ale nie widzieli duszy. Tym czasem nowy gość, poznawszy z głosu i z twarzy Franklina, przybliżył się do niego. Tuż cię to więc znajduję," mówił i ścisnął jego rękę. „Cieszę się ztąd niezmiernie, mnie-małeś pewnie, że maie już więcej na tym świecie nie użyżysz." Franklin przyszedł do siebie; te słowa przekonały go że to nie była dusza. „Lecz przebóg -" mówił, „jakim sposobem zeszedłeś z koła w które wpleciony byłeś?"

„Naynaturalnieyszym," odpowiedział gość. Nie byłem w koło wplecionym, inaczej bowiem wątpię, abym mógł z tobą rozmawiać."

To więc nie zostałeś stracony? Jakim to stało się sposobem; odiechałem tegoż samego dnia, w którym miano cię wyprowadzić; widziałem wszystkie przygotowania do twej straszliwej śmierci. Jakże więc mogłeś świętey sprawiedliwości uniknąć?

Stało się to przypadkiem, którego nie mogłem się spodziewać.

eli do  
Tym  
y z gło-  
yblżył  
c znay-  
rękę.  
mnie-  
więcey  
Fran-  
słowa  
dusza.  
i jakim  
w które

odpo-  
w kolo  
wątpie  
cony?  
a; od-  
w któ-  
widzia-  
o twej  
ęc mo-  
niknąć  
a, któ-  
ziewać

Stałem już na rusztowaniu i by-  
łem rozciągniony na piasku; gdy  
nagle mocny pożar na czterech ro-  
gach wybuchnął. Straszliwa trwoga  
opanowała moich towarzyszy, i  
strożów, i powszechne zamieszanie  
sprawiła. Każdy pobiegł ratować swe-  
go majątku, każdy zapomniał o mnie.  
(\*) Widząc wszystko w zamieszaniu,  
a mając już odwiązane ręce i nogi,  
korzystałem z sposobności, i z miejsca  
śmierci uszedłem. W niejakiej od-  
ległości, pozruciłem z siebie po-  
wrozy, któremi wiązać miano do pa-  
łow moje ręce i nogi, i spieszyłem  
prędko do jaskini zboieckiej, gdzie  
moich kamratów, w straszney zasta-  
łem trwodze. Słyszeli o moim losie,  
i żalowali zguby swojego przewodni-  
ka. Na mój widok, opanowała ich  
niepospolita radość. Sciskano mnie  
po kilka razy, i nie wiedziano jakim

(\*) Ta egzekucya należy do tych cza-  
sów, gdzie każda wieś miała prawo zy-  
cia i śmierci. W wielkich bowiem mia-  
stach zdarzenie to nie miałoby żadne-  
go podobieństwa do prawdy.

sposobem tłumaczyć radość z mego szczęśliwego uwolnienia. A ponieważ w tamtych lasach nie widzieliśmy dla nas bezpieczeństwa, odmieniliśmy nasze stanowisko. Udaliliśmy się dziesięć mil w prawą, i wzięliśmy w posiadłość gęsty i czarny las, między skalistemi górami, w których głębokich i amach założyliśmy nasze mieszkanie. Poczytaliśmy się za doskonale bezpiecznych, i dla tego zaniedbaliśmy ostrożności. W tym mniemanym bezpieczeństwie, zostaliśmy napadnięci od pięciudziesiąt żołnierzy; nasze bowiem przybycie z wielu widocznych znaków, już ogłoszonym zostało. Nie widzieliśmy innego sposobu ratunku, iak wybić się z pod ich mocy, a widząc w każdym przypadku niebezpieczeństwo śmierci, postanowiliśmy umrzeć raczej zemścić, niż tracić życie pod ręką kata. Rozpacz zapaliła naszą odwagę, i dodała siły naszym ramionom. Walczyliśmy o wolność i życie, nasi przeciwnicy o marny żołądek, łatwo zgadnąć przy, którey stronie

zostało zwycięstwo. Rozproszyliśmy nieprzyjaciół, zdobyliśmy wolność i życie. Ażeby nie zostawić żadnego śladu, wrociliśmy przez różne ścieżki, do dawnego mieszkania, gdzie goiliśmy nasze rany; ja otrzymałem ich pięć, z których jedna zrobiła mnie do walczenia nie zdolnym. Ponieważ nie mogłem im więcej przewodzić: postanowili moi kamraci, zaniedbać swego rzemiosła. Podzieliliśmy się łupem, a ja umyśliłem osiąść w ostatnim końcu Niemiec, i tam resztę życia w spokojności przepędzić. Dziś pomyliłem drogę która prowadzi do \* \* \*, i z największą rokoszą znajduję cię na tym miejscu.

Franklin opowiedział hrabiemu gdzie i jak poznał Moweza, i co za ważney doznał od niego usługi. Hrabia zaprosił Moweza do stołu, i w czasie iedzenia mówiono o różnych rzeczach. „Ledwie pojąć można.” rzekł hrabia, „jak los połączył z sobą tak nadzwyczajne zdarzenia.” Tak od-



powiedział Mowez, przeznaczenie ludzi, i droga którą do niego prowadzeni bywają, zawsze były w mych oczach wielkim cudem, i najmocniejszym dowodem, doskonałego porządku w stworzeniu. Tak niepojętym sposobem nagłeni do czynienia jesteśmy, iż nie czujemy siły która nas nagli, i często nie uznajemy konieczności spraw naszych. „Nie, nie nas do czynienia nie nagli,” rzekł Franklin, „wolna jest nasza wola, i ta szczególnie skłania czynności nasze.” „Słownie rozumujesz,” rzekł uśmiechnięty hrabia, „ostatni dowód zawisłości naszych czynów od wolnej woli, mieliśmy wyieżdżając z Madrytu.”

Jeżeli uważałeś, rzekł Mowez wszystkie przypadki twoiego życia, powinienes uznać, iż połączenie ich tak było mocne, że koniecznie jeden z drugiego wypływał. Ja przynajmniej wyznam, iż z historii mojego życia, konieczność spraw ludzkich przypuścić muszę.

Ha! prawda odezwał się Franklin, obiecałeś mi jeszcze w Bastylii opowiedzieć twoie przypadki. Proszę cię spełniy to przyrzeczenie, nie wątpię bowiem, że z nich potrafię wolność ludzkiej woli okazać. „Obiecniesz sobie rzecz niepodobną, odpowiedział Mowez. Reszta kompanii, równie ciekawa jak Franklin, słuchać historyi człowieka, którego przypadki koniecznie były ważnemi, złączyła z nim swoje proźby. Mowez łatwo przyzwolił, i zaczął tym sposobem.

## ROZDZIAŁ XLIII.

### *Historya Moweza.*

**U**rodziłem się w domu zacnym. Wziąłem podobne wychowanie z starszym odemnie bratem, a że nie jestem tym, czym on, przypisać trzeba przeznaczeniu, które mnie na coś innego wybrało. Wszystkie bowiem okoliczności równe były dla nas obydwóch. Natura dała mi ognisty

temperament. Każda drobność wprawiała mnie w nieporównany zapal. Upor moy nie miał granic: widzieć i żądać iedno było u mnie; chciwość panowania, a nienawiść każdej podległości, oto są celniejszy rysy mego charakteru, który z mego temperamentu wypływał. Charakter brata w cale był moiemu przeciwny. Każde słowo kierowało nim, czynił wszystko co mu kazano. Powolność iego nie miała granic, rozumiano że i u mnie ich nie ma, ale ta sama powolność, która mego brata czyniła na wszystko obojętnym, zrobiła mnie bardziey upornym i skutki mego charakteru, pomnożyły się z wzrostem lat.

W osmym roku mego życia, odumarł mnie oyciec: w szesnastym proponował mi wuy, ażebym został xiędzem; dziedzictwo bowiem spadało podług praw na starszego. Oparłem się iego żądaniu; chciał mnie przymusić, obszedł się ze mną twardo i wypchnął go za drzwi. Nie mo-

głem dłużej bawić w domu, opu-  
ściłem go i zostałem żołnierzem.  
Niewola sprzeciwiała się panującej  
we mnie skłonności; sprzeciwiałem  
się starszym. Długo znoszono mnie  
przez wzgląd na moją familią; ale  
gdy pewnego czasu zburzałem ka-  
pitana w obliczu całej kompanii,  
ten rozgniewany kazał mnie wziąć  
do aresztu. Słowo areszt, było is-  
kierką rozpalającą moją wściekłość.  
Rzuciłem się z pałaszem na kapita-  
na, i niżej on potrafił mnie wstrzy-  
mać, przebiłem go. Tenże sam los  
spotkał i sześciu innych. Nakoniec  
schwymano mnie, i wzięto do aresztu.  
Zrobiono mi proces, osądzono mnie  
na rozstrzelanie; lecz przez wzgląd  
na moją młodość i familią, udarowa-  
no mnie życiem. Wrocilem do do-  
mu ubogi, i bez nadziei przyszłego  
szczęścia, ponieważ ogłoszono mnie  
niezdatnym do wszelkiej służby woj-  
skowej. Widząc dostatki moiego  
brata, zgrzytałem zębami, że uro-  
dziłem się później od niego. Raz  
w gwałtownym zapale wszedłem do

iego izby, i domagałem się rowney części owczystego majątku. Łagodny brat chciał na wszystko pozwolić, ale wny oparł się, i kazał lokajom aby mnie z zamku wypchnęli. Nie posiadałem się od gniewu; chcia- służyć, lecz każda służba była dla mnie niewolą. Nie mogłem byźdź posłusznym, duch mój był nie zawisły, niedostatek dał mi się uczuć w naywyższym stopniu. Nie jadłem całę trzy dni. „Czegoż masz wędnieć w biedzie,” rzekłem do siebie samego. „Czy nie ma dōbr na świecie, a ty nie maszże do nich rōwnego prawa iak inni? Ręka twoja ma siłę, a twoje serce odwagę. Czemuż ludziom gwałtownie tego nie bierzesz, czego ci dobrowolnie dać nie chcą? Czyliż podobnie nie czynią jenerałowie, którzy kray nieprzyjacielski pustoszą? Wszyscy ludzie twemi są nieprzyjaciolmi; wszyscy bowiem chcą nad tobą panować, a ty zawisnąć od nikogo nie możesz. Jesteś więc tym względem szczególnych, czym iest jenerał i iego, armia względem



tających narodów. — Kradniy kiedy  
 ci nie chcą dać, bez zniszczenia twej  
 niepodległości." To rozmowianie tak  
 mocno podparła skłonność moiego  
 serca, iż moje przedsięwzięcie na  
 tychmiast przywiodłem do skutku.  
 Kradłem, ale tylko bogatych, a co  
 ukradłem nad potrzebę dzieliłem mię-  
 dzy ubogich, których zawisłość i  
 niedostatek wzbudzały we mnie litość.  
 Imię moje brzmiało we wszystkich  
 ustach. Bogacze przeklinali mnie,  
 ubodzy błogosławili. Szczęście moje  
 zdawało mi się być najwyższym. Nie  
 było człowieka wolniejszego ode-  
 mnie; żadne bowiem prawo nie wią-  
 zało mego woli; żyłem tak całe trzy  
 lata. Pewnego dnia, gdy jeneralne-  
 mu celnikowi odbierałem to co miał  
 nadto; napadniono mnie, schwytano  
 i zaprowadzono do Bastyllii. Tam  
 zabrałem z tobą znajomość. Osa-  
 dzono cię na galery, a mnie ska-  
 zano na śmierć. Stróż więźniów  
 obwieścił mi moje przeznaczenie,  
 dniem przed wydaniem dekre-  
 tu. Ta nowina skłoniła moją de-

terminacją. Prosiłem go aby do mnie przyszedł w nocy, że mam mu odkryć ważny interes. Przyszedł, zadusiłem go, uwolniłem się z kajdan, i uszedłem z więzienia. Sam jeden nie wiele mogłem dokazać; postanowiłem więc zgromadzić horde, której bym miałem przewodzącą. W krótcie zebrałem naywyborniejszych chłopów: kraść, a gdy tego potrzeba było zabijać, to było naszym rzemiosłem, i naszą determinacją. Myślałem sobie: „Królowie zabijają, gdy im tego potrzeba, dla dokonania swoich zamiarow. Możesz byś u ciebie zbrodnią zaboystwo?” Tak myślałem i wraz z moją hordą udałem się do lasu. Wszystkie drogi uczyniliśmy niebezpiecznemi; lecz wierny moim prawidłom; kradłem tylko bogatych, którzy ludzi zawisłemi czynią od siebie, a puszczałem śpokojnie ubogich, którym nawet częstokroć pieniędzy na drogę dawałem. Tak żyłem, wiadoma ci jest reszta moiego życia. Opisałem ci w krótkości moje przypadki, opisywać ie z okoliczno-

ściami, wieleby czasu zabrało. Zastanawiając się postrzegłem iawnie, że to co czynilem, czynilem z przeznaczenia. Musiałem odebrać temperament ognisty, musiałem być delikatnie chowany; ta delikatność musiała podnieść we mnie dacha niepodległości do tego stopnia, który mnie skłaniał do wszystkich moich czynów.

Do późnej nocy rozbiegano przypadki Moweza. Mowez i hrabia utrzymywali konieczność ludzkich czynów, a Franklin wolną wolą. Na koniec położono się spać, w zamiarze iako nayraniey ciągnięcia daley podróży.

## R O Z D Z I A Ł XLIV.

*Przybycie do zamku hrabiego de Witt, i zakończenie przypadków.*

**H**rabia ofiarował Mowezowi swój zamek. „Możesz w nim żyć,” mówił „tak niepodległe, iak ci się tylko spodo-

ba chcę być twoim przyjacielem, bo myślisz tak iak ja." Mowca przyjął ofiarę hrabiego, i całe towarzystwo zabrało się do podróży.

W drodze nie im się nie przytrafiło co by wartalo wspomnienia. Jeden przypadek może być szczegulnie wyięty. Franklin całą drogę mówił o wolney woli. Nocniąc w iedney wiosce, przymusiła go potrzeba ukryć się w pewne miejsce. Ponieważ było to w nocy wpadł nieborak w brzydką kloakę. Wyciągnięty z niey w nieprzyjemney bardzo postaci, stał się celem powszechnego szyderstwa.

Przybyli nakoniec do zamku starego hrabiego. Starzec siedział przy kominku, gdy iego syn wszedł do pokoju w towarzystwie przyjaciół i przyjaciółek. Stary oyciec nie mógł się pojąć z radości, widząc przed sobą syna, którego już od dawna za umarłego poczytał. Chciał wstać i ścisnąć go, lecz nie mogąc się podnieść z krzesła, siedział w nim nie wzruszony. Hrabia który swojemu  
oycu

oycu przez niespodziewane przybycie wiele chciał roskoszy uczynić, i koniec iego dni osłodzić, rzucił się do nóg iego, ścisnął iego kolana, i niezmiernie się zdziwił, że oyciec żadney mu nie okazywał czułości. Porwał się śpieszo, ruszył oycem, i upadł z wrzaskiem na ziemię. Pośpieszono na pomoc, a gdy się podniósł, postrzegli włzyscy, że stary hrabia nie żyje. Zbyteczna radość uderzyła go pewnie apoplexją. Młody hrabia który chciał dzień swego przyjazdu w zupełney weselości serca przepędzić, przymuszony został oddać go łzom i żałości. Pogrzebiono starego hrabiego, a w całym zamku kilka tygodni powszechny smutek panował.

Nakoniec pamięć oycy zwolniła w duszy hrabiego, a ponieważ nie był więcey w Algierze, nie mógł żyć z Karoliną tym sposobem iak dotąd. Potrzeba było aby ją pojął za żonę. Nie miał prawda szczerę woli czynienia tego kroku, miałem bowiem że *Matżeństwo jest grobem*



*miłości.* Ponieważ jednak nie mogli żyć bez Karoliny, postanowił prosić duchowieństwa aby mu pozwoliło używać z nią rozkoszy. Franklin uczynił toż samo z piękną pokojową, dla powłócznego ukontentowania, panowało w kole małego towarzystwa.

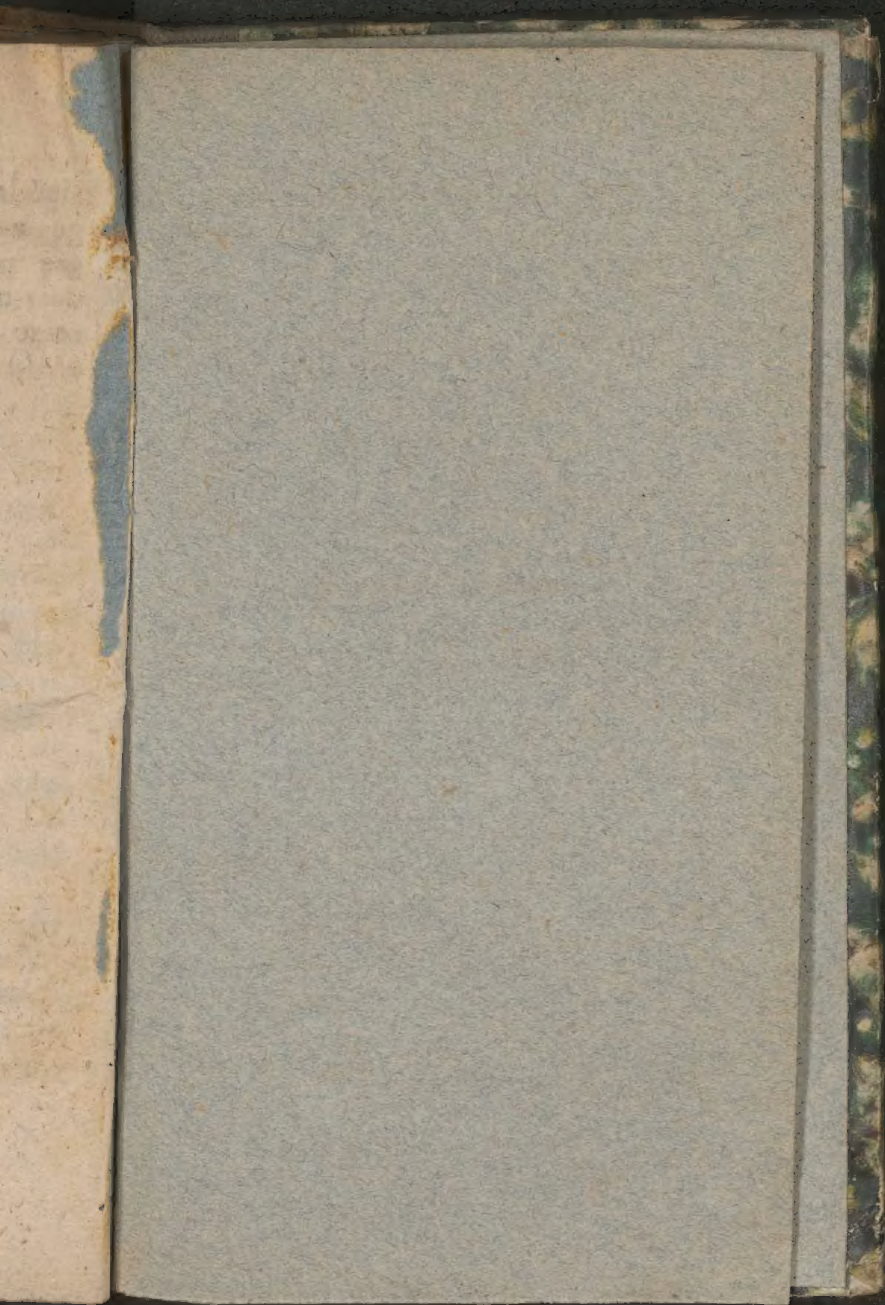
Mowez i hrabia wierząc w, od wieczne przeznaczenie, mówili: Człowiek nie powinien się o nic troszczyć, nie może bowiem losu swojego odmienić, i tym koniecznie być musi co mu raz naznaczono. Franklina utrzymywał wolną wolę, a nigdy prawie nie mógł tego czynić co chciał. Mowez i hrabia użyli wszystkich sposobów, dla wyprowadzenia go z błędu, ale Filozof nie tak prędko z błędu wyprowadzony być może. Do końca swego życia wierny był swemu zdaniu.

Wszyscy byli szczęśliwi i używali wesela, które zdarza prawdziwa przyjaźń. Śmierć nakoniec skończyła wszystko. Mówią że Franklin założył się z hrabią, iż jeszcze dzie-

sięć lat żyć będzie, ponieważ od ie-  
go woli zawisło, chować najsćislej-  
szą pomierność, ale tegoż samego  
dnia udawion kością ryb, rzekł amie-  
rając ostatnie słowa: *Człowiek ma  
wolną wolą.*

## K O N I E C.











Biblioteka Jagiellońska



stdr0019393

